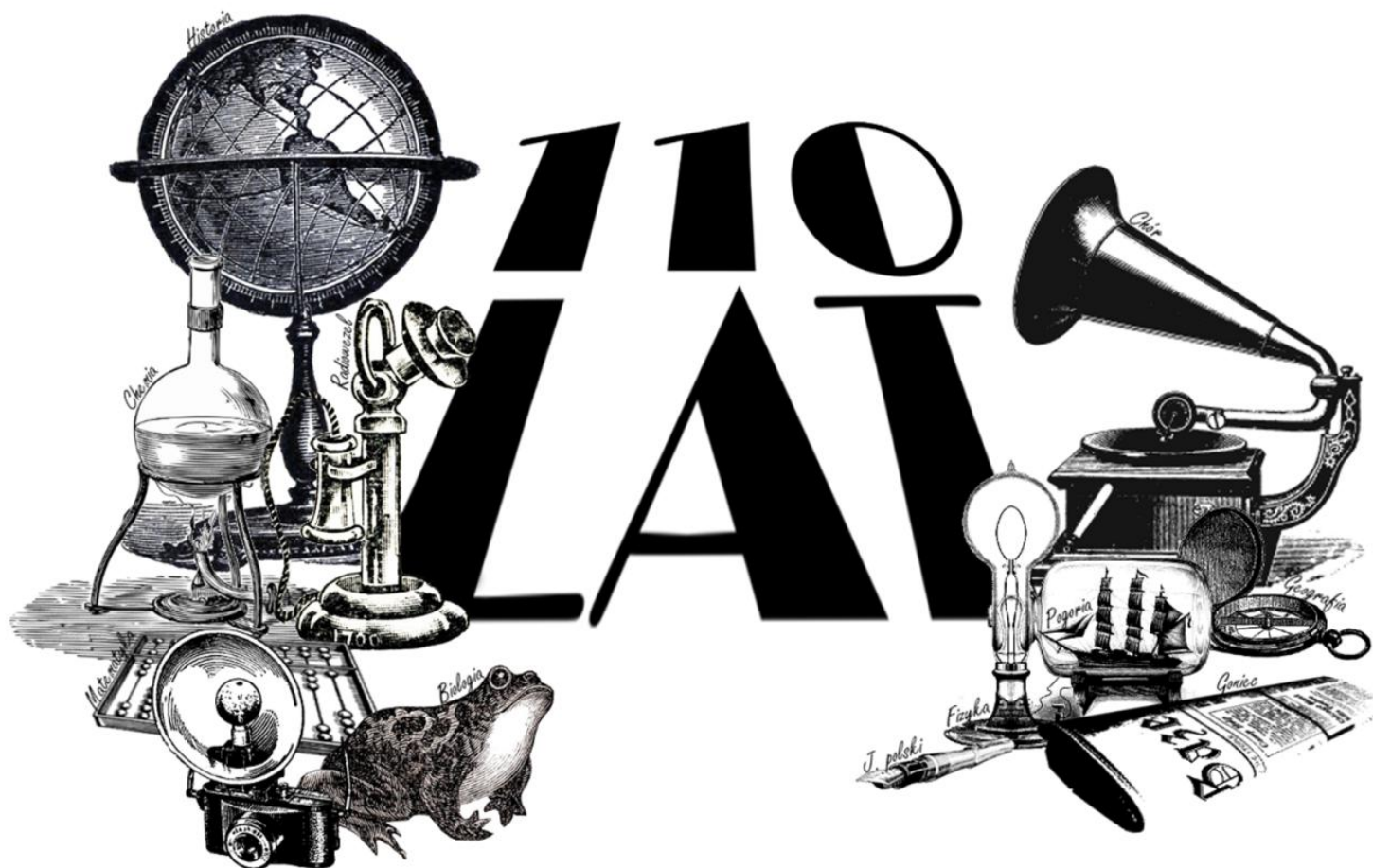


# GONIEC ZAMOYSKI



MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU SZKOLNEMU  
ORGAN REDAKCJI SZKOLNEJ  
UCZNIÓW LICEUM IMIENIA JANA ZAMOYSKIEGO W WARSZAWIE  
NUMER STYLIZOWANY EGZEMPLARZ DARMOWY



# SPIS TREŚCI

- |   |   |
|---|---|
| 3. 110 LAT MINĘŁO...                                    | 25. IM DALEJ W LAS, TYM WIĘCEJ DRZEW                            |
| 4. SZTAFETA POKOLEŃ                                     | 27. BYĆ IDEALNĄ, CZYLI ODMIENNE KANONY PIĘKNA W RÓŻNYCH EPOKACH |
| 9. WYWIAD Z P. PROF. J. BRALCZYKIEM                     | 29. WSPIERAJMY LOKALNYCH KRWIOPIJCÓW                            |
| 13. WYWIAD Z J. KOSTRZEWĄ                               | 31. BODO, TYLKO ON!   |
| 15. WYBÓR   | 33. MANIFEST KMINY  |
| 17. DE EDUCATIONE POLONICA (CZĘŚĆ I – JAKIE METODY?)    | 36. WIERSZE:  |
| 18. WSI, CZYLI ZLIKWIDOWANA DUMA POLSKIEGO KONTRWYWIADU | • SUBIEKTYWNY ZAMOYSKI  |
| 20. ŁAMIĄC ZASADY: MOJE PRZEŻYCIA Z GENDER              | • LISTY DO MIŁOŚCI  |
| 23. AMERYKAŃSKI SEN                                     | • *** („PŁACZĄCA WIERZBA...")                                   |
|   | • KONCERT   |
|   | • PIEŚŃ O PORZUCONYM STATKU                                     |
|   | 44. ZŁOTE USTA  |

## REDAKCJA

**REDAKTOR NACZELNY:** Andrea Nowicka

**AUTORZY:** Filip Dymitrowski, Mateusz Kuchta, Robert Bengsz, Filip Воланд Świerczyński, Andrea Nowicka, Natalia Kossakowska, Michał Gójski, Michał Czajkowski, Mał, Karol Krzemiński, Kazimierz Michalik, Julka Fołtyn, Weronika Pisula, Michalina Prus, Tomek Ratajczyk

**KOREKTA:** Filip Воланд Świerczyński

**SKŁAD, OPRAWA GRAFICZNA, PROJEKT OKŁADKI:** Filip Воланд Świerczyński

**OPIEKUNOWIE REDAKCJI:** p. prof. Marzena Chylińska, p. prof. Emilia Kędziorek, p. prof. Agnieszka Mitura



## 110 LAT MINĘŁO...

Na przestrzeni wieków to tyle, co nic. Dla XVIII Liceum Ogólnokształcącego im. Jana Zamoyskiego to całe istnienie. Już od samego początku było wyjątkowe – pierwsza polska szkoła w Królestwie i największa szkoła średnia na terenie trzech zaborów. Z takim potencjałem Gimnazjum założone przez gen. Pawła Chrzanowskiego kształciło kolejne pokolenia młodych Polaków. W czasie II wojny światowej budynek na ulicy Smolnej 30 został przejęty przez hitlerowskiego okupanta. Duch patriotyzmu nie zginął w Zamoyskich sercach. Niezwykły klimat nauki i starannie dobrana kadra nauczycielska zaowocowały sukcesami absolwentów – Melchior Wańkowicz, Tadeusz Kotarbiński, Jerzy Giedroyc... to tylko nieliczni.

To jest szkoła o dwóch obliczach – w trakcie nauki niekiedy się mówi na nią źle, a po latach przychodzi się ponownie w te mury, by jednak podziękować za ten czas. Nieprzerwanie realizowane są słowa naszego patrona:

*„Takie będą Rzeczpospolite  
jakie ich młodzieży chowanie”*

Szkoła to nie budynek, tylko ludzie, którzy ją tworzą. Na 110-lecie życzę więc determinacji, siły, braku ograniczeń w zdobywaniu wiedzy i wykorzystania jej na rzecz ogółu, twórczego myślenia, samorealizacji. Życzę kolejnych 110 i więcej lat.

Także dla Gońca Zamoyskiego 110-lecie jest świętem. Oddaję w Twoje ręce, Czytelniku, nasz numer w nieznanym dotąd wymiarze. Tym razem nie będę zdradzać, o czym można przeczytać, tylko od razu zaproszę do lektury. Miłego czytania!

*~ Andrea Nowicka*



# SZTAFETA POKOLEŃ

„Goniec Zamoyski” jest inicjatywą uczniowską trwającą bez względu na wszystko od pięciu lat. Bywało bardzo różnie, zdarzały się kryzysy, a mimo to nasza determinacja była na tyle duża, że nie poddaliśmy się i poddawać nie zamierzamy. Z roku na rok stajemy się coraz lepsi – zwiększa się nakład, rośnie liczba redaktorów, polepszamy skład i grafikę tak, by wszystko prezentowało się jak najlepiej. Nie można tak łatwo opowiedzieć o historii „GZ”. Najlepiej jednak zrobią to redaktorzy naczelni.

## „GOŃCA ZAMOYSKIEGO” POCZĄTKI

Początki trwającej do dziś w naszym liceum epoki „Gońca Zamoyskiego” sięgają 2010 roku, kiedy jako świeżo upieczeni uczniowie 1G postanowiliśmy, skutecznie zmotywowani przez wychowawczynię (panią Bogumiłę Kozyrę) podjąć zadanie redagowania szkolnej gazetki. Mając w pamięci, że zwykle wielkie osiągnięcia cywilizacji opierają się na ruinach poprzedniczek, postanowiliśmy wykorzystać zapomnianą stronę internetową, na której dawniej ukazywały się artykuły uczniów. Tytuł wymyślił Piotr, jeden z redakcyjnych kolegów, ja zostałem wybrany na redaktora naczelnego, Łukasz miał zająć się korektą i składem, pozostali mieli pomysły na artykuły – to wystarczyło, żeby zacząć wydawanie elektronicznej gazetki, której dyplomatycznie przypieiliśmy łatkę „periodyku” – z uwagi na nieregularne wydania pierwszych numerów.

Ten pierwszy rok szkolny działalności „Gońca” miał charakter wybitnie szkoleniowy – szlifowaliśmy dopiero nasz warsztat pisarski, uczyliśmy się na własnych błędach, z każdym numerem próbując urozmaicić formę i treść gazetki.

Największe problemy dotyczyły oprawy wizualnej, jako że w ówczesnym składzie redakcji nikt nie przejawiał wybitnych zdolności malarskich, rysunkowych, graficznych – a jeżeli przejawiał, to widocznie przez wrodzoną skromność nigdy ich nie ujawnił.

Dopiero rok szkolny 2011/12 przyniósł wyraźną zmianę. Do zespołu „GZ” dołączyli nowi redaktorzy, a wraz z nimi nowe koncepcje i możliwości. Opiekę nad gazetką przejęli: pani Małgorzata Mroczkowska i pan Michał Deniziak, którzy aktywnie zachęcali nas do rozwijania skrzydeł, sięgania po nowe tematy i formy. O ile dobrze pamiętam, to właśnie wtedy powstały pierwsze egzemplarze papierowe „Gońca”, chociaż ówczesny nakład (ok. 5 sztuk) sprawiał, że każdy z nich prezentował wartość limitowaną i kolekcjonerską. Niemniej nasz periodyk zaczął przykuwać uwagę i skutecznie zyskiwał nowych czytelników. Powstały wówczas cykl „Złote usta”, w którym zbieraliśmy najciekawsze wypowiedzi nauczycieli, sprawił, że „Goniec” wzbudzał zainteresowanie także w pokoju nauczycielskim. Gdy spotykam po latach znajomych z liceum i wspominamy szkolne czasy, okazuje się, że wielu z nich pamięta kultowe teksty ulubionych belfrów – drodzy nauczyciele, to dowód na to, że Wasze słowa, tak jak diamenty, są wieczne.

Kariere redaktora naczelnego zakończyłem w połowie klasy maturalnej, czując, że czas na poważnie zająć się przygotowaniami do egzaminu dojrzałości. Z sentymentem patrzyłem na minione 2,5 roku, w którym to czasie udało nam się stworzyć solidne podstawy pod dalszy rozwój „GZ”. Wciąż nie był to ideał szkolnej gazetki, ale pasja i zaangażowanie redakcyjnego kolegi, Mateusza Kuchty, który został nowym naczelnym, pozwalały mieć nadzieję, że będzie tylko lepiej. W dodatku coraz więcej zdolnych osób dołączało do zespołu redakcyjnego.

Ten pozytywny trend w „Gońcu Zamoyskim” utrzymuje się do dziś. Miło patrzeć, że ktoś kontynuuje projekt, który zaczęliśmy niemal od zera i włożyliśmy w niego swój czas i chęci. Jeszcze milej – że ktoś go ulepsza i rozwija. Oby tak dalej!

~ Filip Dymitrowski

## POWRÓCIĆ

„Goniec Zamoyski”. Kiedy zastanawiałem się nad wyborem szkoły, gazetka nie była promowana na dniu otwartym. Później, gdy już stałem się Zamoyszczakiem, nie miała tak wielu drukowanych egzemplarzy, które dziś są dla wielu jedyną okazją do przeczytania czegokolwiek, a w dodatku o szkole. O „Gońcu” się nie wiedziało i nie słyszało. Sam dowiedziałem się o nim nieco przez przypadek, zdaje się, że na jakiejś lekcji biblioteczej. Poszedłem wraz z kilkoma osobami z mojej klasy na pierwsze spotkanie redakcji, które zaintrygowało mnie. Gazetka dopiero raczkowała, to był chyba drugi rok jej działalności. Redakcję stanowili wówczas wyłącznie uczniowie klas humanistycznych, a kierował nią Filip Dymitrowski – ambitny, konkretny i pracowity, ale przede wszystkim przyjazny

człowiek, który potrafił zarządzać „Gońcem” łączyć z działalnością w Samorządzie Uczniowskim (co mi imponowało). Mimo że część moich klasowych kolegów odeszła, to udało nam się ze starszym rocznikiem stworzyć fajną ekipę, która mogła tworzyć coraz lepiej wyglądającą gazetkę. Jedną z osób, które zostały, był mój kolega Grzesiek Adach, który przez 2,5 roku zajmował się profesjonalnie składem i oprawą graficzną. Widoczny był duży przeskok w jakości wyglądu gazetki, przez cały ten czas poziom był wysoki (i osobiście uważam, że najlepszy w historii „Gońca”), a i współpraca z nim była dużą przyjemnością. W drugiej klasie zostałem wybrany redaktorem naczelnym. To był ciekawy okres, do redakcji dołączyło sporo osób z rocznika '96 i trzeba przyznać, że ich zapał do pracy połączony ze skuteczną motywacją był głównym filarem naszej działalności. Udało nam się zwiększyć objętość „Gońca”, jak również jakość samych artykułów, ale też wprowadzić wydawanie numeru co miesiąc – był to duży skok i sukces, którego autorami byliśmy my wszyscy. Sukcesywnie zwiększany był nakład, co umożliwiło zapoznanie się z naszymi artykułami i generalnie samą gazetką coraz większej liczbie Zamoyszczaków. Nie powtórzyła się już sytuacja, którą zapamiętałem bardzo dobrze z mojego pierwszego dnia otwartego w Zamoyskim – gdy starsi koledzy ze zdumieniem wypytывali mnie, co to jest „Goniec Zamoyski”. Stał się on znany. Przez trzy lata mojej nauki w Zamoyskim „Goniec” był jedyną aktywnością nie stricte edukacyjną, którą szkoła mogła się pochwalić na dniach otwartych. I to było bardzo przyjemne uczucie, swego rodzaju duma, tworzyć coś tak istotnego dla Zamoya. Z innych miłych dla mnie rzeczy – w „Gońcu” poznałem moją dziewczynę, z którą jestem od dwóch lat, co pokazuje, że gazetka szkolna to nie tylko

pisanie tekstów, ale również możliwość zawarcia ciekawych znajomości.

W początkach mojej kadencji jako redaktora naczelnego przeczytałem książkę o historii szkoły wydaną na jej stulecie. Wśród wielu aktywności uczniów były wymienione istniejące już nawet przed wojną, ale też po niej i również już w obecnym wieku gazety szkolne. Wszystkie poważne, wszystkie wydawane z zapalem, wszystkie upadające w ciągu kilku lat od powstania. I mnie się zamarzyło, żeby „Goniec” tak nie skończył. Żeby poprzez wypracowane metody działania, sukcesywnie budowaną renomę i popularność nasza gazeta przetrwała zmiany pokoleniowe w redakcji i całej szkole. Żeby mógł przyjść za 10-15 lat do biblioteki i zobaczyć jeszcze większy niż dziś błyskawicznie się rozchodzący nakład. Wydaje mi się, że fundamenty do tego powstały. Już ponad dwa lata temu przestałem pełnić funkcję redaktora naczelnego i przez ten czas ukończyło swoje kadencje już dwóch następnych. Robert Bengsz, perfekcjonista, z którym współpraca była przyjemnością i przygodą, i który dokończył stronę internetową, ale przede wszystkim dalej poprowadził „Gońca”. Filip Świerczyński, artystyczna dusza i niezwykle pozytywny człowiek, który (odnoszę wrażenie) wiele siebie przelał do gazetki. Ostatnie lata to rosnąca popularność i rozpoznawalność „Gońca”, z czego można się tylko cieszyć. Niedawno pierwszą naczelną w historii została Andrea Nowicka i to interesujący kierunek zmian – dotychczas każdy z redaktorów naczelnych był zupełnie inny i nieco inne cele mu przyświecały, ale to też czyni „Gońca” tak atrakcyjnym i tak istotnym dla wizerunku szkoły. I gdy tak patrzę na przemiany, które dokonały się „Gońcu” w ciągu ostatnich lat, na to jaki ogromny skok się dokonał dzięki naszej wspólnej pracy, to jestem bardzo szczęśliwy i mam nadzieję, że za te 10 lat będę mógł przyjść

do biblioteki i zobaczyć to, co sobie kiedyś zaplanowałem.

~ Mateusz Kuchta

## **NJUSY, LAJKI I FANPEJDŻE. O INTERNETOWYM (I NIE TYLKO) „GOŃCU” SŁÓW KILKA**

Stanowisko redaktora naczelnego w „Gońcu Zamoyskim” objąłem w czasach sukcesywnego rozwoju gazetki. Mój poprzednik, Mateusz Kuchta, doprowadził do przekształcenia „Gońca” z kwartalnika w miesięcznik, poczynił także pierwsze starania, aby gazetka zaistniała w Internecie.

Jeszcze za kadencji Mateusza, jako redaktor naczelny elekt, doprowadziłem do powstania strony internetowej z prawdziwego zdarzenia – ze wszystkimi artykułami, wierszami i innymi tekstami. Od swojego poprzednika przejąłem także raczkujący dopiero fanpejdż na Facebooku, który w chwili przejęcia „lajkowało” niewiele ponad 100 osób.

Właśnie w Internecie widziałem szansę wypromowania naszej gazetki. Fanpejdż, który dotąd służył jedynie do informowania Czytelników o dostępności kolejnego numeru w bibliotece, z czasem zaczął być źródłem większej ilości informacji z życia szkoły. Zaczęło się niewinnie, bo od opublikowania wyników wyborów do PSU. To był jednak mały krok dla fanpejdżu, a wielki dla całego „Gońca”. W późniejszym czasie fanpejdż stał się głównym medium informującym o szkolnych aktualnościach, takich jak kampania wyborcza, symulowane wybory samorządowe czy... awaria wody.

Coraz większa popularność gazetki oraz jednoczesny brak wzrostu nakładu z czasem stały się niemalym problemem.

Popyt znacznie przewyższył podaż. Skłoniło mnie to do podjęcia starań o zwiększenie dostępności tradycyjnej, papierowej wersji dla Zamoyszczaków. Wspólnie z PSU oraz jego ówczesnym przewodniczącym Marianem Filą udało się wynegocjować u Dyrekcji zwiększenie nakładu z 40 do ponad 100 egz. Dwa wydania w czasie mojej kadencji wydrukowane zostały w jeszcze większym nakładzie. Mam na myśli tu oczywiście numer świąteczny oraz numer na dzień otwarty, który został wydrukowany dokładnie w aż 220 egzemplarzach (czarno-białych i kolorowych – odpowiednio 213 i 7).

Ostatnie miesiące roku 2014 i jednocześnie końcówka mojej kadencji obfitowały w rozmaite wydarzenia i „iwenty”, organizowane głównie przez Samorząd. Było o czym pisać i informować – pozwoliło to na znaczące zwiększenie aktywności fanpejdza, któremu od września do grudnia przybyło prawie 200 nowych „lajków”, osiągając tym samym łącznie 350 polubień.

Coraz większą popularność zyskiwała także strona internetowa. Tylko w październiku witrynę odwiedziło prawie 5 tys. Czytelników, co do dziś jest niepokonanym rekordem.

Pełnię władzy oddałem Filipowi Świerczyńskiemu 19 grudnia 2014 r., po dokładnie 364 dniach „panowania”, oddając w jego ręce „Gońca” powszechnie znanego i czytanego. Nie byłoby to jednak możliwe bez ogromnego zaangażowania każdego z redaktorów i tak ogromnego zainteresowania Czytelników. Redagowanie „Gońca” było dla mnie czystą przyjemnością i pasją, jak również ogromnym doświadczeniem.

~ Robert Bengsz

## A PO KUCHTYZMIE I BENGszyZMIE - - WOLANDYZM

Okres mojego rednaczenia rozpoczął się pod koniec grudnia 2014, choć dosyć zażyłą relacją z samą Redakcją związany byłem (i nadal jestem) już od początku mojej nauki w Zamoyskim (tj. od pierwszych dni pamiętnego września 2013). To całkiem długo, jak sądzę, szczególnie biorąc pod uwagę to, że w chwili obecnej (o czym mogę chyba dumnie wspomnieć) jestem najdłużej działającym w Redakcji Zamoyszczakiem, który nie ukończył jeszcze naszego LO (bo są i tacy, jak choćby słynny Robert Bengsz, którzy kontynuują współpracę z „GZ” mimo, że zdali już maturę).

W „Gońcu”, zaczynając pracę na stanowisku zwykłego i niepewnego siebie redaktora-pierwszaka, pisywałem („pisałem” to chyba zbyt pompadyczne określenie) głównie wierszyki i podobne im pseudoliterackie wynurzenia. W międzyczasie poznawałem innych członków Redakcji (a było to jeszcze za kuchtyzmu, kiedy „Goniec” dopiero zakorzeniał się w zamoyszczackiej świadomości). I tak to trwało. Jakiś czas po tych wydarzeniach (wiosną 2014) objąłem funkcję głównego (i jedyne) grafika (co – jestem co do tego przekonany – wiązało się z jeszcze większym nakładem czasu niż późniejsza praca na stanowisku redaktora naczelnego). Potem, na przełomie grudnia '14 i stycznia '15, obrano mnie rednaczem. Niedawno, bo pod koniec grudnia 2015, zakończyłem (zgodnie z zamoyską tradycją) swą chefredakteurską posługę.

Rok 2015 wspominam z dużym sentymentem. Myślę, że – nieskromnie rzecz ujmując – był to okres dobry nie tylko dla mnie, ale i dla „Gońca” (o czym świadczyć może chociażby zwiększenie

nakładu ze 100-150 do 200, a w apogeum popularności gazety 300 egzemplarzy – co więcej! – nakładu, który rozchodził się w trakcie dwóch lub trzech przerw). Mając zaszczyt współpracowania z szeregiem inteligentnych, ambitnych i solidnych redaktorów oraz pracowitą i uzdolnioną panią grafik, pisaliśmy do „GZ” z satysfakcją (nierazkro prowadząc różnego rodzaju grę z Czytelnikiem przy jednoczesnym wymykaniu się wszystkowidzącemu oku łagodnej cenzury). Pisaliśmy, drukowaliśmy i publikowaliśmy. „Gońca” udało się nam spopularyzować na tyle, że w chwilach największej świetności gazety średnio co drugi uczeń posiadał jej papierową wersję. O ile pierwsza połowa roku minęła spokojnie, o tyle ta druga miała być zdecydowanie szybsza i bardziej dynamiczna. Zbyt duże zaangażowanie w kampanię wyborczą przejawiane przez kandydatów do Samorządu Uczniowskiego odbiło się rykoszetem na całej szkole – na gazecie również. Sam kilkakrotnie interweniowałem (często u najwyższych szkolnych instancji) w obronie dobrego imienia moich redaktorów. Ostatecznie – ku mojej ucieście – udało nam się nie tylko wytrwać w tych czasach burzliwych zmian, ale i jeszcze bardziej ożywić nasz fanpage na Facebooku i zwiększyć zainteresowanie „Gońcem”. Nie zdążyłem się obejrzeć, a przyszedł styczeń, a wraz z padającym śniegiem padło na szkołę i trzecioklasistów również i widmo nadchodzącej matury. I tak – po kuchtyzmie i bengszyzmie – skończył się w Zamoyskim wolandyzm.

~ Filip Волод Świerczyński (Φ.)

## CO DALEJ?

Jestem piątym redaktorem naczelnym, a zarazem pierwszą redaktorką.

To niesie ze sobą pewne wyzwanie. Moja kadencja trwa od stycznia. Nie piszę w czasie przeszłym – moja próba sił się dopiero zaczęła. Ktoś powie, że nie mam nic do napisania – i tu się pomyli. Każdy dzień rednacza coś wnosi do tych słów. Każdy wschód słońca oznacza nowe doświadczenia – organizacja pracy innym, pilnowanie terminów niby nauczyciel, pełna odpowiedzialność za wszystko. To ciągła nauka, poznawanie siebie i innych. Jest to dowód na to, że Zamoyski uczy życia. Stawia młodego człowieka w obliczu wyzwania i zmusza go do stawienia czoła przeciwnościom.

Czy żałuję? Nie. I nie będę. W życiu przecież nie chodzi o to, żeby wegetować w przeciętności do kresu swych dni, lecz żeby żyć pełnią. Mam siłę i motywację do tego by „Goniec” rósł w siłę. Daje mi ją Czytelniku, Twój uśmiech, gdy bierzesz świeżutki egzemplarz *Gońca* do dłoni, gdy miałeś pecha i nie zdobyłeś swego numeru, bo tak szybko zszedł i pytasz, czy będzie dodruk i ten entuzjazm spowodowany premierą. Gdy się to widzi, nabiera się przekonania, że robi się coś dobrego dla innych. Jestem dumna, a zarazem zaszczycona, że mogę przewodniczyć tej inicjatywie. Opiekowanie się redakcją sprawia, że nauka w Zamoyskim nabiera kolorów. Patrzę z nadzieją w przyszłość – tylko to może sprawić, że będę miała coraz to nowe pomysły i siłę na ich realizację. Jest to zasługą moich drogich poprzedników. Osiągnęli sukces. Teraz ja, otrzymawszy od nich wsparcie i radę, mogę przejąć dominującą rolę w sztafecie i doprowadzić mój zespół do kolejnego zwycięstwa.

~ Andrea Nowicka



# WYWIAD Z PANEM PROFESOREM JERZYM BRALCZYKIEM

**Filip Świerczyński:** Skąd wzięły się u Pana zainteresowania językowe i polonistyczne?

**P. Prof. Jerzy Bralczyk:** Zainteresowania językowe są właściwe każdemu człowiekowi. Od dzieciństwa ludzie lubią bawić się językiem, zastanawiać się nad tym, dlaczego coś się tak nazywa – później czasami szkoła to w nich utrwała, ale niestety częściej zabija. Kiedy dowiadują się, że robią błędy, to już są trochę onieśmieleni wobec języka. Później zastanawiają się, jak co wyrazić i przestają być naturalni i spontaniczni – podczas gdy operowanie językiem jest jedną z najwspanialszych rzeczy, jaka została człowiekowi dana. Język – owszem – służy pracy, czasem walce, ale i bardzo często służy przyjemności. Życie z innymi ludźmi daje radość, a jesteśmy z innymi przede wszystkim przez język. Nie ma nic naturalniejszego, niż zainteresowania właśnie językiem. Poza tym pochodzę z rodziny nauczycielskiej, w której się dużo czytało, dużo rozmawiało – i to także dało dobry grunt, żeby zająć się lekturą książek i samym językiem.

**Natalia Kossakowska:** Kiedy był Pan na studiach polonistycznych, dlaczego wybrał Pan językoznawstwo, a nie literaturoznawstwo?

**JB:** Powiem szczerze – tak jakbym wcześniej miał mówić nieszczerze [śmiech] – większość ludzi szła wtedy na

literaturoznawstwo. Zajmowanie się literaturą zawsze w moim przekonaniu wiązało się z pewną przypadkowością. To, że ktoś coś napisał, było wynikiem pewnych intelektualnych wyborów i perspektyw. Język jest czymś bardziej powszechnym. Czymś, co odnosi się do całej społeczności, całego narodu. W tym sensie sam język jako przedmiot zainteresowania wydał mi się ciekawszy niż na przykład jakiś pojedynczy pisarz, czy nawet pojedynczy nurt. Wydawało mi się to po prostu ciekawsze, tym bardziej, że język żył, żyje i będzie żył, a pisarze niestety umierają.

**NK:** W książce pod tytułem „Wszystko zależy od przyimka” [książce-rozmowie pomiędzy profesorem Bralczykiem, Markowskim i Miodkiem – przyp. red.] nie we wszystkim zgadza się Pan z profesorami Markowskim i Miodkiem. Z czego to wynika?

**JB:** Jest bardzo dobrze, kiedy ludzie się ze sobą zgadzają, ale gdy zgadzają się we wszystkim, to robi się strasznie nudno – to po pierwsze. Z profesorem Markowskim i profesorem Miodkiem w większości przypadków się zgadzamy. Reprezentujemy to samo pokolenie i pewnie ten sam sposób myślenia, ale jesteśmy wychowani w trochę innych tradycjach i mamy trochę inne charaktery. Różnimy się tam, gdzie w widzeniu języka można się różnić. Można być bardziej restrykcyjnym, jeśli chodzi o poprawność, albo bardziej tolerancyjnym.

Można cieszyć się z tego, co się w języku zmienia, albo martwić tym, co się w języku psuje. Uchodzę raczej za człowieka bardziej tolerancyjnego i akceptującego zmiany – i to pewnie jakoś się w tej książce odznacza.

**FŚ: Który z obszarów językoznawstwa pociąga Pana najbardziej?**

**JB:** Kiedyś najbardziej interesowała mnie składnia, czyli gramatyczne relacje między słowami – to, co sprawia, że słowa się do siebie (mówiąc bardzo obrazowo) dopasowują. Później semantyka, czyli znaczenie słów i to, jak zmieniają lub precyzują swoje znaczenie. Później to, jak słowa działają, czyli pragmatyka i to, co słowami można wywołać. W tej chwili interesuje mnie także historia słów oraz słowa i zdania jako takie. Napisałem książkę o zdaniach, wybierając te, które uważam za najważniejsze dla języka polskiego. To, czym zajmuję się obecnie, najłatwiej byłoby chyba zawrzeć w takiej dyscyplinie, która nazywa się kultura języka (po części może też frazeologia – czyli to, jak słowa zmieniają swoje znaczenie, będąc w kontakcie z innymi słowami).

**FŚ: W którym momencie Pańskiego życia stwierdził Pan, że językoznawstwo jest tym, czym chce się Pan zajmować?**

**JB:** Ten moment jeszcze mam przed sobą [uśmiech].

**NK: Czyli już jako młodzieniec wiedział Pan, że chce iść w tym kierunku, czy miał Pan jakieś inne, całkiem różne plany?**

**JB:** Z tej perspektywy wydaje mi się, że wiedziałem. Ale czy wiedziałem naprawdę? Pewnie nie...

**FŚ: Wiadomo powszechnie, że jest Pan wielkim pasjonatem „Pana Tadeusza”. Czy to prawda, że zna Pan treść całej książki na pamięć?**

**JB:** Nie mam pojęcia, ile znam – trudno to zresztą wymierzyć. Kiedy ktoś podaje jakiś cytat, najczęściej potrafię powiedzieć, co było dalej. Przypuszczam, że dwie trzecie, może trzy czwarte tekstu opanowałem.

**FŚ: To zapamiętanie tekstu wzięło się stąd, że czytał Pan tyle razy „Pana Tadeusza”, czy...**

**JB:** Bez czytania nie dało rady [śmiech]. To pytanie nie jest bez sensu, bo mogłem słuchać, choć były to lata 50., więc byłem zdany na lekturę.

**FŚ: Powtarzał Pan fragmenty tekstu do momentu, aż się ich Pan nauczył?**

**JB:** Były takie fragmenty tekstu, których uczyłem się świadomie na pamięć. Było ich całkiem sporo. Za moich czasów fragmentami, których trzeba było nauczyć się na pamięć były „Grzybobranie”, „Koncert Wojskiego”, „Koncert Jankiela” i oczywiście „Inwokacja” – tych uczyłem się na życzenie szkoły. Poza nimi uczyłem się też innych fragmentów. Na początku nauczyłem się „Bitwy”. Brało mnie to. Inne fragmenty przychodziły jakoś same z siebie. Całego „Pana Tadeusza” czytałem wiele razy.

**NK: Na Pańskim ostatnim wykładzie w naszej szkole już o to pytano, ale nie było tam wszystkich, a Pańska odpowiedź nie była jednoznaczna. Chciałabym zapytać o to, czy poprawnie mówi się „w auli” czy „na auli”?**

**JB:** Ja mówię „w auli”. Traktuję aulę jako pomieszczenie zamknięte. Jeżeli chodzi

o salę, często mówi się „w sali”, ale też „na sali”, traktując „salę” jako zamknięty pokój (bo jednak „w pokoju”, a nie „na pokoju”). Czasami – jeśli jest to duża sala – możemy traktować ją inaczej, jako płaszczyznę (np. „na sali gimnastycznej” – ponieważ sala gimnastyczna jest bardziej powierzchnią, niż zamkniętym pomieszczeniem). Aulę rzadziej traktujemy jako przestrzeń płaską czy płaszczyznę otwartą, dlatego raczej nie mówimy „na auli”.

**FŚ: Czy Mickiewicz to Pański ulubiony polski pisarz?**

**JB:** Tak. Czekam na kogoś ciekawszego. Może ktoś się jeszcze pojawi [uśmiech].

**FŚ: Jeżeli chodzi o literaturę światową, to i tutaj Mickiewicz jest ulubionym, prawda?**

**JB:** Literaturę trzeba poznawać w języku, w którym była stworzona. Moja znajomość innych języków nie jest tak dobra, jak języka polskiego, zresztą nie jestem poliglotą. Mogę co najwyżej powiedzieć, że przemawia do mnie język niemieckiej i rosyjskiej poezji romantycznej – te języki trochę znam. Trudno mi powiedzieć, na ile potrafię to docenić. „Wer den Dichter will verstehen, muss in Dichters Lande gehen” – czyli „kto chce zrozumieć poetę, musi pojechać do jego kraju”. Nie powinniśmy się skarżyć. Polska ma całkiem dobrych pisarzy.

**NK: Jaki ma Pan stosunek do literatury współczesnej? Pozytywny, czy...**

**JB:** Tak, jak najbardziej pozytywny. Bardzo się cieszę, że jest literatura współczesna. Jaka jest – to już inna sprawa. Jest jej bardzo dużo. Nigdy nie wydawało mi się, że będzie aż tyle literatury kryminalnej i że będzie aż tak czytana. Kiedyś wydawało mi się, że jest

zbyt dużo powieści SF. Teraz jest ich trochę mniej – dominuje raczej fantasy. Nie jestem jego wielbicielem, ale wiem, że i w nim można dużo ciekawego powiedzieć. Nie jestem wielbicielem dlatego, że lubię, jak coś ogranicza – na przykład realia ograniczają. W fantasy można pisać wszystko. Mamy znakomitą poezję. Mamy bardzo wielu świetnych poetów – nie tylko tego starego pokolenia, ale tych (dla mnie przynajmniej) młodych.

**FŚ: Oprócz Mickiewicza – jakich pisarzy jeszcze Pan najbardziej ceni?**

**JB:** Jest ich mnóstwo. Bardzo cenię tych, którzy umieli się świetnie posługiwać językiem. Mistrzem języka był Sienkiewicz i to nie ulega najmniejszej wątpliwości. Wśród poetów XX wieku – Leśmian i Tuwim, czyli poeci o bardzo kreatywnym stosunku do języka, bardzo wiele potrafili. Jest taki tekst (choć stosunkowo mało znany), który pokazuje, jak wspaniale może brzmieć polszczyzna – Julian Tuwim przetłumaczył kiedyś staroruski epos „Słowo o pułku Igora”. To absolutne arcydzieło. Kiedy czyta się to – szczególnie na głos – widać, jak bogata jest polszczyzna i jak wiele można powiedzieć. Do tego jest to przekład rymowany i wierny. Tuwim miał zupełnie niezwykle umiejętności. Od strony języka cenię również Gombrowicza, który potrafił dotrzeć do trudno wyrażalnych sfer ludzkiego myślenia. Jego „Kosmos” jest jedną z największych ksiązek, jakie czytałem. Cenię Lema, który też był bardzo wyrafinowany od strony językowej. Język jest pewnego rodzaju perspektywą, z której patrzeć na literaturę.

**NK:** Nasza polonistka powiedziała nam, że w ostatnim czasie zmienione zostały zasady słowotwórcze. Chcielibyśmy zapytać, czy to prawda i co konkretnie się zmieniło?

**JB:** Zasady nie zmieniają się tak sobie. Przemiany językowe wynikają z różnych czynników – czasem zewnątrzjęzykowych, czasem wewnątrzjęzykowych – ale nie można powiedzieć, że „oto nagle zmieniły się zasady słowotwórstwa”. Poza tym w słowotwórstwie nie ma jakichś radykalnych zmian. To, co można zaobserwować, to wielki napływ słów obcego pochodzenia czasami zastępujących nam to, co kiedyś dawało słowotwórstwo. Rozwijając własny zasób korzystaliśmy z możliwości słowotwórczych języka. Tworzyliśmy nowe słowa od dawnych. Teraz najczęściej zapożyczamy.

**NK:** Jaki jest Pański stosunek do zapożyczeń?

**JB:** Jeżeli zapożyczenie jest uzasadnione lub konieczne, to nie przeszkadza mi ono.

**FŚ:** Czyli jest Pan pozytywnie nastawiony do zmian w języku?

**JB:** Ja jestem pozytywnie nastawiony do świata [śmiech]. Ogólnie tak, choć w szczegółach już jest różnie.

**FŚ:** Dziękujemy Panu za wywiad.

**JB:** Ja również dziękuję.

*Wywiad przeprowadzili:*

*Filip Świerczyński i Natalia Kossakowska*

*Opracowanie i redakcja:*

*Filip Świerczyński*



## WYWIAD Z JANEM KOSTRZEWA

**Andrea Nowicka: Dlaczego akurat Zamoyski?**

Jan Kostrzewa: A można inaczej [*śmiech*]? Ale mówiąc poważnie, nie miałem wątpliwości przy wyborze szkoły. Czas liceum traktowałem jako etap, który pozwoli mi zostać studentem Politechniki Warszawskiej. Wybrałem więc najlepszą szkołę. W tym wypadku „najlepsza” znaczy ta, po której uczniowie są w czołówce przyjmowanych na Politechnikę. No dobrze, jest jeszcze jeden powód: lokalizacja. Nie będę ukrywał, że bliskość stacji kolejowej miała znaczenie.

**AN: Jakie masz wspomnienia związane ze szkołą przy Smolnej 30?**

JK: Mam dokładnie trzy lata wspomnień i to same dobre. Niemożliwe? Po prostu z tych, które w tamtych czasach wydawały mi się przygodami z serii złych, po latach zacząłem się śmiać. Bardzo, ale to bardzo dobrze wspominam studniówkę i występ kabaretowy przed nią. Wtedy na chwilę odkryłem w sobie niesamowite aktorskie talenty, choć pewnie niektórzy nazwaliby je darem do przedrzeźniania nauczycieli. Ale zostanmy przy aktorskich zdolnościach.

**AN: Których nauczycieli wspominasz z sentymentem? Możemy ich jeszcze spotkać w naszych murach?**

JK: Pani Jadwiga Holas – niedościgniony wzór w nauczaniu fizyki. Myślę, że nawet największy humanista na jej lekcjach chłonąłby fizykę. Ona po prostu wyjaśniała jak działa świat. Trzeba przyznać, że trafiłem na świetną kadrę nauczycielską. Oczywiście mógłbym ponarzekać na kogoś, ale po co po latach robić coś takiego? A czy

moi nauczyciele nadal uczą w Zamoyskim, to już nie jest pytanie do mnie.

**AN: Jak potoczyła się twoja kariera naukowa po Zamoyskim?**

JK: Tak, jak już wspomniałem, liceum było drogą na studia. Skończyłem informatykę, robię doktorat ze sztucznej inteligencji.

**AN: Jesteś częścią polskiego zespołu, który zbudował PW-Sat – pierwszego polskiego satelitę wyniesionego na orbitę. Jak wyglądały prace nad nim?**

JK: Satelitę tworzyliśmy w Polsce. Natomiast start rakiety, która wyniosła naszego satelitę w kosmos, oglądaliśmy w Gujanie Francuskiej. To jest uczucie nie do opisania. Już sama praca była wyzwaniem i realizacją marzeń, tych początkowych, bo na szczycie jest budowa statku kosmicznego [*śmiech*]. Oczywiście były też wielkie emocje. Wystarczył jeden mały błąd i nasza roczna praca poszłaby na marne, a z nią wielkie oczekiwania, bo nie da się ukryć – czuliśmy, że robimy coś wyjątkowego. Na szczęście wszystko się udało. Patrzyliśmy, jak satelita wznosi się w kosmos. Oczywiście nie obyło się bez żartów. Współpracujący z nami elektronicy, nie wgrali typowego komunikatu, jaki powinien nadać satelita. Dołożyli coś od siebie. Siedzieliśmy już w hotelu, gdy nadeszła informacja, że stacja badawcza w RPA odebrała sygnał od naszego satelity, ale komunikat głosił, że została odkryta obca cywilizacja. Czy cywilizacja obca jest – nie przesądzam, ale za tym komunikatem stali akurat nasi elektronicy.

**AN: Udzielasz się społecznie czy raczej skupiasz się na karierze naukowej?**

JK: W tej chwili pracuję nad doktoratem. Jestem jednak wciąż czynny społecznie. Jestem kierownikiem naukowym w Korporacji Akademickiej „Sarmatia”.

**AN: Jesteś barwiarzem Korporacji Akademickiej „Sarmatia”. Przybliź nam, proszę, ideę korporacji akademickiej, a w szczególności swojej „Sarmatii”.**

JK: To jest męska organizacja bazująca na przyjaźni i nawiązująca do najlepszych tradycji dwudziestolecia międzywojennego. Jest tak, jak śpiewamy w *Hymnie K! Sarmatia*:

*„Nie tylko puchar łączy nas i spada  
Chcemy nieść w życie siły twórczej ład,  
Podstawą jego jedność, a nie zwada,  
Cnoty sarmackie bez sarmackich wad!  
Dobro narodu naszym drogowskazem,  
A w sercach naszych przyszłej Polski los!  
Niechaj w takt pieśni serca biją razem  
Ofiarnych uczuć dziś rozniećmy stos!”*

Można nas poznać po charakterystycznych deklach na głowie, ponadto jesteśmy szarmanccy. Jednak zachęcam nie tylko do googlowania na ten temat. Wszystkich, którym takie klimaty są bliskie, zapraszam na nasze spotkania. Panie pojawiają się u nas tylko na spotkaniach otwartych lub jako towarzyszyki naszych korporantów.

**AN: Co poradziłbyś licealistom w kwestii wyboru kierunku studiów?**

JK: Politologia, socjologia i psychologia – gwarantują prace i zarobek [śmiech]. A tak serio, to są już dorośli i czas na samodzielne decyzje.

**AN: Jakimi rzeczami zajmujesz się w czasie wolnym od pracy naukowej?**

JK: Dbam o rozwój zawodowy mojej dziewczyny i o dziewczynę rzecz jasna też

[uśmiech]. Polecam vloga Weroniki Zaguły; kadr, montaż, oświetlenie i podobne tematy to częściowo moja działka. A, i audycję w niedzielę o 10:00 w Radiu Plus polecam. Tam ona mówi, ja realizuję.

**AN: Czy wybierasz się na dzień absolwenta?**

JK: Weronika już kupiła sukienkę, co zawsze oznacza, że gdzieś idziemy.

**AN: Czy możesz polecić jakieś projekty naukowe dedykowane licealistom?**

JK: Licealistą już dawno nie jestem, ale zdecydowanie polecam inicjatywy np. koła.

**AN: Dziękuję za wywiad.**

JK: Ja również dziękuję.

*Wywiad przeprowadziła:  
Andrea Nowicka*

*Opracowanie i redakcja:  
Andrea Nowicka i Filip Świerczyński*

## WYBÓR

**Podstawówkę wybierają za nas rodzice, w sprawie wyboru gimnazjum już mamy coś do powiedzenia, ale statystyki pokazują, że i tak większość (także w miastach) idzie do tego rejonowego. Mówi się, że wybór liceum jest pierwszym zazwyczaj samodzielnym wyborem, który jednocześnie zaważy na całym naszym życiu. Ale gdy po jakimś czasie spojrzy się na efekty podjętej decyzji, można powiedzieć – bzdura! Czemu więc przychodzić do Zamoyskiego?**

Podczas wyboru liceum byłem w bardzo komfortowej sytuacji – rodzice w żaden sposób nie naciskali, gdzie mam iść, jaki profil klasy wybrać, jakie studia potem planować. Byłem wolny od wszechobecnych sugestii, że powinienem być prawnikiem czy informatykiem, bo można mieć dobre życie z bardzo dobrymi zarobkami. Prawdę mówiąc, takie sugestie tylko szkodzą, wywołując stres i wywierając niepotrzebną presję na niekoniecznie najlepszą decyzję. Ja do wyboru liceum poszedłem poważnie – odwiedziłem podczas dni otwartych dziesięć liceów, a strony internetowe kilkunastu następnych uważnie przejrzałem. Jednym z odwiedzonych liceów był właśnie Zamoy i z tej wizyty zachowały się moje notatki.

„Sprawdziany na auli” – czyli dość paradoksalny pierwszy zapis, od razu z błędem. Bo każdy Zamoyszczak prędzej czy później dowie się, że sprawdziany owszem pisze się, ale „W” auli. W sumie to nieco dziwne, że była to pierwsze rzecz, którą zapisałem, czyli usłyszałem na dniu otwartym, jednak pamiętam, że trochę mnie to przerażyło. Ogromna aula, ze ściany patrzy Jan Zamoyski, niby wszystko widać jak na dłoni. W praktyce okazało się, że do sprawdzianów w auli można się przyzwyczaić, a właściwie niewiele się różnią od tych zwyczajowych, pisanych w sali. A i nauczycielom nie zawsze chce się

eksplorować całą tę ogromną przestrzeń. W każdym razie hasło „sprawdziany w auli”, choć początkowo wywołuje przerażenie, później nie jest niczym nadzwyczajnym ani nieprzyjemnym. Nauczyciel zapowiada sprawdzian, a klasa pyta: *A jest wolna aula?*

„Dobry, wysoki poziom” – mantra powtarzana we wszystkich szkołach, na wszystkich dniach otwartych, przez wszystkich dyrektorów, no bo przecież w szkole nie może być niski poziom. Zapisałem to gdzieś na boku, na marginesie, jako taki element, który musi być. I choć wyniki rankingowe Zamoyskiego robiły wrażenie, to przecież nie rankingiem stoi szkoła. W rzeczywistości poziom okazał się bardzo wysoki. Powtarzana potem przez kolejne lata opowieść o elitarności szkoły, o jej tradycjach, promieniujące ze ściany wspomnianej już auli słowa patrona szkoły: „Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie” – to wszystko wydaje się na początku jakimś mitem, przejawem snobizmu szkoły („patrzcie, jacy jesteśmy super elitarni”), ale w ostatecznym rozrachunku najlepiej to liceum określa. Mimo postępującego od wielu lat odgórnego obniżania poziomu nauczania w szkołach, Zamoyski swój poziom, swoje kryteria, swoje wymagania cały czas usiłuje trzymać. Nie wszystkim to odpowiada, nie wszyscy się z tego cieszą, to nigdy nie jest (ale też nie miała być) sielanka. Niektórzy rezygnują, odpadają, jeszcze inni się tylko przeslizgują, wyklócając się po drodze o każdą ocenę i dyskutując z każdą niedogodnością. A inni z tego poziomu potrafią skorzystać. Jeśli tylko mają trochę chęci i determinacji. Tak Zamoyski działa od 110 lat i działać będzie. Z pożytkiem dla tych, którym zależy.

„Szafki!!!” – radość nieopisana. Ostatnio się to już trochę zmienia, choć nadal wygląda kiepsko, ale parę lat temu szafki w starym liceum w centrum Warszawy, to było naprawdę coś wyróżniającego. I aż szkoda patrzeć, ale nadal tak jest. A szafki okazują się dużo większym udogodnieniem niż na

początku mogłoby się wydawać. Choć o Zamoyskiej szatni i szafkach krążą już opowieści obrosłe legendą – które dość szybko pozna każdy Zamoyszczak – to korzyści z nich są wyraźnie odczuwalne. Trzeba zostawić kilka niepotrzebnych w domu podręczników? Nie ma problemu. Oszczędzanie kręgosłupa i schodzenie co przerwę do szatni po książki na najbliższy przedmiot? Jak najbardziej (przy czym trzeba uważać na nauczycieli nietolerujących spóźnień). Schowanie przedmiotów, które mogłyby się pognieść w plecaku/torebce? Śmiało, tam się nie pogniotą. Wyjście na basen lub siłownię od razu po szkole? Można, torba z niezbędnymi rzeczami mieści się do szafki. Jak również wiele innych rzeczy. Zmieści się także półroczny zestaw zbieranych codziennie na rondzie de Gaulle'a numerów „Metra” – choć warto ostrzec, że wyciągnięcie ich pod koniec roku może być trochę problematyczne i zapełnia dwa najbliższe kosze na śmieci. Przy okazji można znaleźć coś „ciekawego” pod spodem. Czego już nie polecam.



Te wszystkie notatki robiłem pod koniec kwietnia 2011 roku, a już we wrześniu byłem Zamoyszczakiem. Dziś jestem natomiast studentem drugiego roku geografii. Po klasie

humanistycznej. Bo kto mi zabroni. Jedną z rzeczy, których nauczył mnie Zamoy, choć nie zawsze w przyjemnych okolicznościach, jest fakt, że nie ma rzeczy niemożliwych, nie ma rzeczy, których nie możemy zrobić. Co ciekawe, Zamoyski był jedyną szkołą, o której (poza sprawdzianami w auli) nie napisałem nic negatywnego. Oczywiście, tak kolorowo na co dzień nie jest – jednak to szkoła, a na szkołę można, a wręcz trzeba narzekać i zazwyczaj jest na co narzekać. Jak w każdej szkole, czasem bardziej, czasem mniej. Ja akurat narzekałem dużo, bo narzekać wyjątkowo lubię.

Wracając zaś do początku tekstu: wybór, *tu wpisz brakujące słowo*, to jeden z najważniejszych wyborów w naszym życiu. Bla, bla, bla. Słyszymy tak na różnych etapach naszego życia, w zależności, na którym etapie akurat jesteśmy. Niewiele z tego wynika, bo w rzeczywistości nasze decyzje mogą coś determinować, ale jeśli nie będziemy dalej iść wybraną ścieżką, to sam wybór nic nam nie da. Z drugiej strony z każdej ścieżki można zejść. Samo przyjście do Zamoyskiego nic nie da, jeśli celem będzie jedynie przepełnienie przez trzy klasy, z heroiczną walką z „nieuczciwymi, okropnymi nauczycielami”. A jeśli ktoś chce się zmierzyć z wysokim poziomem, z własnymi ograniczeniami i brakami, to Zamoyski może mu wyjść na dobre i z tej całej otoczki elitarności i tradycji da się wyciągnąć coś dla siebie. W solidnej dawce narzekań, bo podobnie jak zapiski z dnia otwartego można w pełni zrozumieć dopiero chodząc do tej szkoły, tak samą szkołę i jej wartości docenia się dopiero na studiach.

~ Mateusz Kuchta,  
absolwent 2014 r.



# DE EDUCATIONE POLONICA.

## CZ. I – JAKIE METODY?

Może się wydawać niepokojący stan faktyczny polskiej edukacji. I słusznie zresztą. Coraz młodsze roczniki nie są:

- > odpowiednio „wychowywane” do nauki,
- > odpowiednio nauczane.

Od dawna wiadomo, że najlepszym sposobem na udowadnianie swoich racji, rozwiązywanie konfliktów, budowanie pewnych schematów i poznawanie otoczenia jest dialog. Tego u nas w edukacji bardzo brakuje. Po pierwsze dlatego, że osoby decyzyjne boją się podjąć wyzwanie i zmienić współczesny tok nauki, by stał się bardziej przyjazny umysłom dzieci i młodzieży. A to ma ich nauczyć samodzielnego myślenia – określenia założeń i wniosków, odkrywania tajemnic na bazie znanych faktów. Po drugie – może to bardziej pasuje tym „wyżej postawionym”? Z pewnością wszyscy zrozumieją (ci w ławkach, oczywiście) materiał pokazany w podręczniku i zadany do domu. Nie mówię tu o uczeniu alfabetu czy tabliczki mnożenia. Te wiadomości po prostu trzeba zapamiętać. Są natomiast takie chwile, gdy uczniowie mogą zwątpić w sens życia, a nauczyciele, przytłoczeni biurokracją, nawet gdyby chcieli, to niewiele mogą zrobić. Wszechobecne kontrole, ewaluacje, przepisy, wytyczne, zakazy i nakazy częstokroć wiążą im ręce.

Od razu trzeba przyznać, że nie wszystko, co jest przewidziane dla gimnazjów czy szkół średnich, przyda się w życiu dorosłym, zawodowym. Myślę więc, że edukacja na poziomie ogólnym powinna zakończyć się w VI klasie szkoły podstawowej (przy obecnym systemie, nie uwzględniam akurat w tym punkcie chęci

zmian). Na etapach późniejszych powinno się odchodzić od modelu wszechwiedzącego ucznia – nastolatka. Z każdą kolejną klasą materiał interesujący ucznia musi być ograniczany tak, by ów uczeń mógł doskonalić się w tych dziedzinach, które rozumie lepiej lub określa je jako najbardziej potrzebne w swojej przyszłości. Dzięki temu nauczyciele prowadzący dany przedmiot będą edukować tych, którzy go wybrali – mamy tu czynnik wolności, a nie tak nie działa na chęć nauki, jak właśnie wolność w tym, co się lubi, a nie zmuszanie do tego, czego uczeń momentami nienawidzi.

Uważam również, że szkoła podstawowa powinna zostać tak zorganizowana, by dana klasa miała przez te kilka lat swojej nauki najwyżej czterech nauczycieli. Oczywiście są to marzenia – tyle szkoleń, studiów, taki bałagan by powstał, że, jednym słowem, nie opłaca się. Jednak z drugiej strony, jeśli nie teraz, to kiedy? Czyli nie wykład, a dialog i nie biurokracja, a współpraca. A ta współpraca najlepiej rozwija się w przyjaznej atmosferze kilkunastooosobowej grupy, w której ludzie, dzieląc się na jeszcze mniejsze zespoły wspólnie pracują, by osiągnąć jakiś konkretny cel. I w domu, szkole czy pracy zawodowej ten system ma sens.

~ Michał Gójski

# WSI, CZYLI ZLIKWIDOWANA DUMA POLSKIEGO KONTRWYWIADU

WSI, czyli Wojskowe Służby Informacyjne powołano w 1991 roku jako jedną z dwóch (obok również nieistniejącego już Urzędu Ochrony Państwa) służb specjalnych. WSI realizowało zadania w zakresie Wywiadu Wojskowego oraz Kontrwywiadu Wojskowego. Działo na rzecz Narodowych Sił Zbrojnych, a podlegało Ministerstwu Obrony Narodowej.

Wojskowe Służby Informacyjne powstały w wyniku reorganizacji wojskowych służb specjalnych po 1989 roku. Powstały 22 lipca 1991 roku i zastąpiło powołaną rok wcześniej organizację Zarządu II Wywiadu i Kontrwywiadu Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, jednakże nie wchodziły już w skład Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Od powstania do 2003 roku WSI działało na podstawie znowelizowanej Ustawy o powszechnym obowiązku obrony RP z 1967 roku, której artykuł 15 mówi o wykonywaniu działań ochraniających państwo, przeciwdziałaniu zagrożenia godzącego w obronność RP i naruszeniu przez nich tajemnicy państwowej w zakresie obronności; art. 2 Ustawy o Urzędzie Ochrony Państwa stwierdzający, że analogiczne zadania realizują *służby wywiadu i kontrwywiadu* podległe Ministrowi Obrony Narodowej; Ustawy o ochronie informacji niejawnych z dnia 22 stycznia 1999 roku, która mówi o WSI

jako o jednej ze służb ochrony państwa; odpowiednich przepisów ustawy o powołaniu Agencji Wywiadu i Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Od lutego 1994 do 1995 roku WSI było podległe Sztabowi Generalnemu Wojska Polskiego, czyli de facto było podległe ówczesnemu Prezydentowi RP, Lechowi Wałęsie. Po przegranych przez Wałęsę wyborach w 1995 roku i wyborze na ten urząd Aleksandra Kwaśniewskiego, Wojskowe Służby Informacyjne wróciły pod kontrolę Ministra Obrony Narodowej.

Do najważniejszych zadań Wojskowych Służb Informacyjnych należały m.in. rozpoznanie i zwalczanie działań mających zaszkodzić niepodległości państwa polskiego, nienaruszalności granic czy bezpieczeństwu Narodowych Sił Zbrojnych. WSI odpowiadało także za dostarczanie Siłom Zbrojnym RP informacji niezbędnych do planowania obronnego, rozpoznania wojskowego i ochrony ich bezpieczeństwa, wykrywanie szpiegów, którzy działali przeciwko Rzeczypospolitej, przygotowywanie ocen dla najwyższych władz państwowych, ochrona informacji niejawnych dotyczących obronności. Ważnym zadaniem WSI było również zabezpieczenie działań polskich kontyngentów wojskowych.

Skoro Wojskowe Służby Informacyjne miały takie ważne zadania ochrony państwa, to od razu nasuwa się

pytanie, dlaczego miały, a nie mają. W WSI od początku istnienia wiodącymi postaciami byli dawni funkcjonariusze UB czy SB. Działania przez nich prowadzone często były działaniami niezgodnymi z prawem. W 2006 roku Wojskowe Służby Informacyjne zostały wykorzystane w przepychankach politycznych. W celu umożliwienia działania rządu mniejszościowego Kazimierza Marcinkiewicza podpisany przez Jarosława Kaczyńskiego, Romana Giertycha oraz Andrzeja Leppera został pakt stabilizacyjny, w którym zawarta była propozycja likwidacji WSI, do której niedługo potem doszło.

Po likwidacji Wojskowych Służb Informacyjnych powstała komisja weryfikacyjna pod przewodnictwem Antoniego Macierewicza, później Jana Olszewskiego. Powstał tzw. Raport Macierewicza, w którym WSI opisano jako organizację przestępczą. Obecny Minister Obrony Narodowej dopuścił się czynu haniebnego – opublikował nazwiska tajnych agentów WSI. Dane te były objęte tajemnicą wojskową i nie powinny zostać nigdy opublikowane. Przez tą listę ucierpieli nie tylko agenci, ale również ich informatorzy z takich krajów jak Irak i Afganistan, gdzie owi informatorzy w najlepszym wypadku zostawali aresztowani czy też porywani. Większość z nich jednak po prostu zginęła. Nie wiemy dokładnie ile było takich osób, ale przez kaprys jednej osoby pozbawiono ich życia. W raporcie Macierewicza wręcz skarżono się na to, że większość agentów to byli funkcjonariusze SB szkoleni najczęściej przez rosyjskie KGB. Wykryto też paru rosyjskich szpiegów. Nie dziwię się temu, że byli funkcjonariusze SB pracowali w WSI. Przecież w 1991 roku wyszkoleni oficerowie kontrwywiadu w Polsce to byli tylko ci, którzy współpracowali

z komunistycznym wojskiem, a przez dwa lata nie da się „wyprodukować” idealnego kontrwywiadowca, poza tym potrzebne jest doświadczenie. Jednakże z czasem powinno się zmieniać metody i odświeżać skład, czyli po prostu brać młodych, gniewnych i nie „umoczonych” przez SB. Tego po prostu nie zrobiono, co chyba definitywnie pogrzyżyło Wojskowe Służby Informacyjne.

Moim zdaniem WSI powinno dostać jeszcze jedną szansę, ale taką, gdzie reformy byłyby niezbędne. Polska nie powinna nie posiadać żadnych służb specjalnych w kontrwywiadzie, a po likwidacji UOPu i WSI po prostu takich nie ma. Nawet NATO po likwidacji Wojskowych Służb Informacyjnych wyraziło swoje zaniepokojenie, uznało że grozi to nawet osłabieniem sojuszu. To pokazuje, że pomimo dziwnych, często bezprawnych metod działania, Wojskowe Służby Informacyjne wykonywały bardzo dobrą, choć niewidoczną dla nas, zwykłych obywateli, robotę. Wracając do Antoniego Macierewicza – po tym co zrobił w sprawie WSI nie powinien piastować żadnych funkcji publicznych, a na pewno nie Ministra Obrony Narodowej, bo 10 lat po WSI pewnie zacznie pracować nad tym, aby zlikwidować ostatnią elitarną jednostkę Wojska Polskiego – GROM...

*~ Michał Czajkowski*

# ŁAMIĄC ZASADY: MOJE PRZEŻYCIA Z GENDER

Moje podróże po sieci prowadzą mnie w różne strony Internetu, nie raz wzbogacając mnie o nową wiedzę i intrygując mnie przeróżnymi tematami. W trakcie dość długiej choroby na jesieni, kiedy przebywałam sama w domu i próbowałam zabić nudę, wzięłam swojego kochanego smartfona w dłoń i ponownie weszłam w internetowy świat. Polecony został mi blog na Tumblrze, na którym młody brytyjski student publikował swoje rysunki związane przede wszystkim z grą, która interesowała mnie w tamtym czasie. Jednak tym, co odróżniało go od innych blogerów, których znałam, była jedna rzecz. W swoich pracach mocno poruszał tematykę LGBT, zwłaszcza osób trans.

Szok – to była moja pierwsza reakcja na to, co tam zobaczyłam. Nigdy nie miałam doświadczeń z tą tematyką i nie miałam zielonego pojęcia, co na ten temat sądzić. Dziwna wydała mi się myśl tworzenia fanartów prezentujących moją ulubioną postać z danej gry jako transseksualistę. Przez pewien czas nie umiałam oswoić się z tym. Jednak po dłuższym zastanowieniu zadałam sobie pytanie: co ja tak naprawdę wiem na ten temat?

Autor bloga był bardzo uprzejmy oraz miły i odpowiedział na moje pytania. Opowiedział mi o identyfikowaniu własnej płci, jednak nie biologicznej, a psychicznej. O tym jak wyrażamy siebie np. przez ubrania oraz jak chcemy być spostrzegani.

Przeprowadziłam też własne poszukiwania, przeszukując głównie zagraniczne strony internetowe, gdyż na

polskich niewiele można odnaleźć (co mnie mocno zmartwiło). Dzięki temu odkryłam trzy pojęcia odnoszące się do *transów*, które nieraz stosujemy wymiennie, choć tak naprawdę niezwykle się one różnią. Pierwszy z nich to **transwestyta**, czyli osoba, która identyfikuje się ze swoją biologiczną płcią, jednak od czasu do czasu przywdziewa strój płci przeciwnej tzw. *cross-dressing*, znany między innymi dzięki środowisku *drag kingów i drag queenów*. Drugi to **transgender**, czyli osoba, która nie identyfikuje się ze swoją płcią biologiczną i chce przystosować się do drugiej płci z wyglądu, jednak bez dokonywania operacji zmiany płci. **Transseksualista** jest bardzo podobny do transgendera, jednak taka osoba gotowa jest podjąć się operacji zmiany płci, by w pełni upodobnić swoje ciało do płci, z jaką się identyfikuje.

I o ile te trzy pojęcia wydawały się proste, to okazało się, że na tym nie koniec. Gender obejmuje również osoby, które nie czują się w pełni kobietą albo w pełni mężczyzną, uważają się jako płć pomiędzy nimi, albo jako bezpłciowca. Opowiadać można o tym godzinami, a pojęć jest całe mnóstwo. Moim ulubionym, które niezwykle mnie zaintrygowało, jest **genderfluid**, czyli ktoś, kto nie przynależy do żadnej płci, lecz zależnie od dnia różnie się identyfikuje. Np. jednego dnia czuje się kobietą, a innego bezpłciowo.

Czytając o tym wszystkim zaczęłam zadawać sama sobie pytania. Jeszcze rok temu, gdybyście zapytali mnie o to jakiej jestem płci, od razu odpowiedziałabym, że

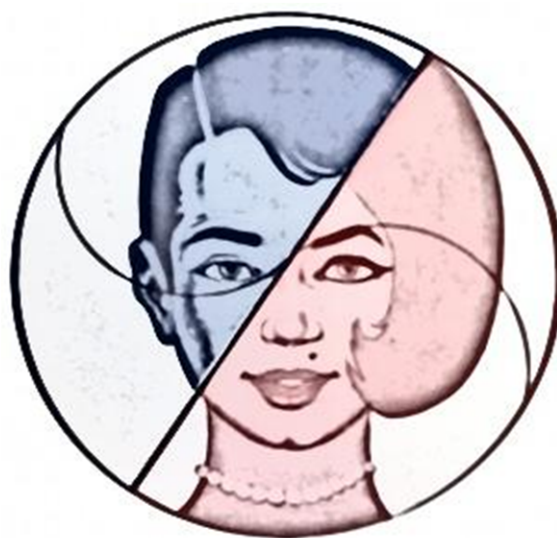
jestem kobietą. Jednak teraz... co tak naprawdę znaczy *kobieta*? Kim ja tak naprawdę jestem?

Postanowiłam postawić siebie w sytuacji osoby, która nie identyfikuje się z płcią biologiczną. Wyciągnęłam z szafy najbardziej męskie ciuszki jakie posiadałam i przywdziewałam je przez następnych kilka miesięcy. Ścięłam też włosy, które i tak chciałam oddać charytatywnie, a nowy image nie byłby pełny z długimi kudłami, które miałam wcześniej. Oprócz tego zaczęłam naśladować bardziej męskie zachowanie, sposób siadania i raz nawet użyłam męskich perfum!

Eksperyment doprowadził mnie do wniosków, które do dziś stanowią temat moich rozważań. Moi znajomi reagowali ze zdziwieniem, próbowali trochę żartować. Część uznała to za kolejny element mojego odwiecznego buntu przeciwko *byciu typową kobietą*, inni za chwilowe szaleństwo. Ale nikt nie przyjął tego na poważnie jako moją próbę stania się *facetem*. Do teraz w głównie brzmią mi słowa rozmowy z kumplem, kiedy w żarcie zapytał mnie, czy zamierzam zmienić płeć, a ja równie żartobliwie próbowałam udać, że raczej nie. Nie czułam, że mogłabym zwierzyć się mu z tego, co czułam w tamtej chwili.

Spotkałam się kilkoma niemiłymi sytuacjami, takimi jak ciężka rozmowa z przyjaciółką, która nie mogła znieść tej myśli, że mogę być inna, niż dotąd ona zakładała. Nie zgodziła się zwracać się do mnie innym imieniem i wręcz odchodziła od tego tematu zmieniając na te, które ją interesują. A próba zaczęcia tematu z przyjacielem spotkała się z ostrą krytyką i szybkim ucięciem wątku. Miałam wrażenie, jakby to było tabu, że lepiej trzymać w sobie swoje niepewności. Przecież ja miałam być *dziewczyną*, nie *chłopakiem*.

Czułam się przytłoczona tą sytuacją, nikt nie był w stanie zrozumieć tego jak się czułam, kim chciałam być. Momentami samą siebie określałam jako *dziwną, inną*. Zdarzały mi się momenty głębokiego załamania tą sytuacją, nie wiedziałam co począć. Czy było to aż tak straszne, że ktoś odbiegał od norm, które zostały ustalone dawno temu, że próbuje stać się kimś, kim czuje się wewnątrz? Czy ma dalej udawać dla chorej satysfakcji otoczenia? Ma dalej cierpieć?



Przyszedł dzień, gdy zdjęłam to przebranie i przyodziałam moje dawne ubrania. Persona Mateusza, jak nazwałam siebie w roli męskiej, została już tylko we wspomnieniach i kartkach papieru, na które go naniosłam. Stał się elementem mojego poszukiwania samej siebie i myślę, że wiem lepiej niż dawniej, kim jestem. Wątpię, bym powróciła do stylu, jaki miałam w tamtym czasie. Wolę być tym, kim zawsze się czułam, czyli dziewczyną, która ma po prostu lekko męski styl ubierania się i bycia. Może i nie będę kobietą, damą, ale jestem sobą i to mi do szczęścia potrzebne, jednak wcielenie się w Mateusza zaowocowało tym skromnym apelem.

Osoby trans nie ma łatwego życia. Często od dziecka borykają się z problemem swojej identyfikacji, próbują dopasować się do norm społecznych, gdyż brak akceptacji, zrozumienia mocno odbija się na psychice, a niejednokrotnie takie osoby spotykają się z dręczeniem, wyśmiewaniem, bywają nawet bite. A pragną, jak każdy z nas, **akceptacji**. Z tego miejsca proszę was więc, byście takiej osoby nie napiętnowali np. nazywając ją *dziwakiem*, *odmieńcem*, *świrem*. Nie proszę, byście ją otwarcie akceptowali i popierali, proszę byście pozwolili jej być sobą i żyć na swój własny sposób. Nie jesteśmy Bogiem, by ich sądzić. Jeżeli kiedykolwiek spotkam osobę, która będzie miała problemy z identyfikacją płciową, to na pewno postaram się jej pomóc. Bo teraz już wiem, jak ciężko jest kwestionować samego siebie i to, kim się jest.

~Mat



# AMERYKAŃSKI SEN

Szkoła uczy nas poszanowania wartości, takich jak: szczerść, lojalność, odwaga, patriotyzm, szacunek dla drugiego człowieka, a także przyrody, która zewsząd nas otacza. Zgodnie z założeniami powinna przygotować nas do samodzielnego, godnego życia w... no właśnie: wysokim standardzie? Nie jest otóż tajemnicą, że wielu absolwentów bardzo elitarnych kierunków ma trudności ze znalezieniem pracy, a nawet jeżeli szczęście stanie im na drodze i uśmiechnie się do nich, nie będzie to uśmiech szczerzy i przyjazny; dojrzymy w nim bowiem pewien szyderczy wyraz, zwiastujący nadchodzące problemy. Uczniowie tygodniami zamartwiają się, jaki obrać w życiu kurs, ażeby najbliższy huragan nie zatopił pokładów ich ambicji. Porażka podąża za nimi krok w krok, niczym upiorny cień, nie oddalając się nawet na najkrótszą chwilę, wyczekując dogodnego momentu, kiedy to oddadzą się pokusie zwątpienia, a ona będzie mogła praktycznie niezauważona wkraść się w ich umysły i doprowadzić do ruiny cały istniejący w ich głowach świat.

Szczęście może mieć także drugie oblicze, zapewne gdzieś w równoległym wszechświecie, albo w raju podatkowym. My natomiast posiadamy trzecią jego formę, tak zwany Internet. Przy odrobinie wysiłku i wkładu własnego możemy opracować własny pomysł, który, przy dobrych prognozach, sfinansują inni ludzie. Co może nam to umożliwić? Odpowiedź brzmi: *kickstarter*.

## CO TO JEST KICKSTARTER?

Kickstarter jest to platforma crowdfundingowa<sup>1</sup> powstała w Brooklynie w 2009 roku. Jej autorami są: Perry Chen, Yancey Strickler, Charles Adler. Platforma posiada obecnie stronę internetową oraz aplikację na systemy operacyjne iOS i Android.

## JAK DZIAŁA KICKSTARTER?

Sposób działania jest bardzo prosty, jeśli nie powiedzieć, że banalny. Pierwsze, co musimy zrobić, to wpaść na mniej lub bardziej genialny pomysł. Drugim krokiem będzie rejestracja (darmowa) naszego projektu. Musimy także wybrać kategorię klasyfikacji naszego pomysłu z pośród niżej wymienionych: *sztuka, komiksy, rzemiosło, taniec, design, moda, film i wideo, jedzenie, gry, dziennikarstwo, muzyka, fotografia, publikacje, technologia, teatr*. Następną rzeczą, którą musimy zrobić, jest ustalenie kwoty potrzebnej nam do realizacji naszej koncepcji. Istotną kwestią jest tutaj rozsądek, ponieważ jeśli nie otrzymamy sumy zgodnej (lub wyższej) z naszymi oczekiwaniami, dotację, które miały nam zostać przekazane zostaną automatycznie anulowane. Kolejną rzeczą, o której należy pamiętać, jest ustanowienie gratyfikacji za fakt dofinansowania naszego produktu. W tym przypadku mamy szerokie pole do

<sup>1</sup> Forma finansowania różnego rodzaju projektów przez społeczność, która jest lub zostanie wokół tych projektów zorganizowana.

popisu; możemy zaoferować potencjalnym sponsorom plakaty, breloczki bądź nawet gotowy produkt, oczywiście przy założeniu, że cały proces dojdzie do skutku.

Ważne nie tylko w kickstarterze, ale i w całym crowdfundingu jest to, że inwestorami nie są firmy o ponadnarodowym potencjale, a całe rzesze „zwykłych” ludzi, którym po prostu podoba się nasz pomysł i w przyszłości chcieliby mieć możliwość skorzystania z niego. Platforma ta w sposób całkowicie innowacyjny umożliwia osobom z genialnym pomysłem (ale bez potencjału finansowego) otwarcie się na świat i wprowadzenie do obiegu swojej własnej koncepcji.



Obecnie całkowita suma pieniędzy zgromadzona na wszystkie projekty w historii działania serwisu kickstarter wynosi 2,213,722,603 dolarów. Ilość zrealizowanych dzięki platformie projektów przekroczyła magiczną sumę stu tysięcy, zaś liczba osób, które pokusiły się o dofinansowanie pomysłów, przerosła dziesięć milionów. Projekty o najlepszym dofinansowaniu zgromadziły kolejno 20,338,986 dolarów (Pebble Time – smartwatch), 13,285,226 dolarów (Coolest Cooler – przenośna chłodziarka

z funkcją odtwarzacza muzyki i blenderem), 10,266,845 dolarów (Pebble: E-Paper Watch – smartwatch).

## PRAWDZIWE OBLICZE SZCZĘŚCIA

Niestety szczęście po raz kolejny załaziło nas falą ironii, ponieważ serwis kickstarter nie oferuje możliwości publikowania swoich pomysłów mieszkańcom Polski. Za to możemy finansować inne, ciekawe projekty zagranicznych twórców. Istnieje jednak cień szans na to, by amerykańscy twórcy włączyli nasz kraj do tej genialnej platformy crowdfundingowej, ze względu na to, iż liczba dostępnych dla twórców krajów systematycznie się zwiększa.

~ Karol Krzemiński



## IM DALEJ W LAS, TYM WIĘCEJ DRZEW

Chińskie znaki bywają nazywane obiegowo „krzaczkami” ze względu na to, jak są skomplikowane. Niewątpliwie, chińskie pismo jest znacznie trudniejsze do nauczenia się niż chociażby alfabet łaciński. Jednak nie jest ono najtrudniejszym pismem, jakie kiedykolwiek wymyślono czy jakiego kiedykolwiek używano. Jeśli chińskie znaki to krzaczki, to pismo *tanguckie* to džungla.

Chiny mogą się wydawać pojedynczym i jednolitym molochem, który od dawna istniał sobie w takim kształcie jak teraz – tylko że z cesarzem zamiast partii komunistycznej – w tej części świata. Nie zawsze jednak tak było. To, co można nazwać politycznym organizmem Chin, przechodziło wielokrotnie procesy porównywalne do polskiego rozbitcia dzielnicowego. Bywało podzielone na wiele różnych księstw i państw rządzonych przez różne dynastie królów i cesarzy, o wdzięcznych nazwach w stylu Qin, Jin, Qi, Chu, Wei, Zhou, Zhao czy Zheng. Prowadziło też wojny z ościennymi państwami, których najczęściej określało jako barbarzyńców.

Jednym z takich ościennych państw było państwo tanguckie, określające się samo jako Wielkie Państwo Xia Doniosłości i Bieli<sup>1</sup>. Założone zostało na terenach obecnej Mongolii i Chin przez koczowniczy lud tybetańsko-birmański – Tangutów. Po stosunkowo skomplikowanej historii, w której były między innymi próby uniezależnienia się od Chin, kilka wojen i rebelii, oraz wspaniały rozkwit, zostali najechani i zniszczeni przez Mongołów w 1227, a ich język wymarł. Tanguci zostali zapomniani.

Zanim jednak zginęli, podobnie jak wiele ludów z powodu Czyngis-chana, stworzyli unikalne pismo. Napisane w nim niezrozumiałe inskrypcje na słupach i kamieniach długo dziwiły naukowców. Aż do pewnego dnia w roku 1908.

Wtedy Rosjanin Piotr Kozłow odkrył na pustyni Gobi ruiny miasta Kharakhoto, które okazało się dawną fortecą tangucką. W jej zniszczonych, opuszczonych murach, pośród piasku, odnaleziono całe setki manuskryptów, książek i zwojów w języku (i piśmie) tanguckim – słowniki, teksty religijne i naukowe, zbiory poezji, tłumaczenia z chińskiego. Bramy pustynnego Kharakhoto, Czarne Miasto, okazały się bramami do całej gałęzi nauki, jaką jest tangutologia.



W odróżnieniu od pisma chińskiego, tanguckie nie było tworzone przez tysiąclecia i przez setki szamanów, pisarzy czy biurokratów. Cesarz Li Yunhao rozkazał urzędnikowi imieniem Yeli Renrong stworzenie pisma, a on je wymyślił praktycznie od początku do końca (choć inspirując się pismem chińskim) i bardzo szybko zaczęto go używać. Tak samo jak

klasyczny chiński, jeden jego znak oznacza jedną sylabę, i zarazem jedno słowo.

Chińskie znaki dzieli się przede wszystkim na postawie liczby kresek, z których składa się znak. Średnio chińskie znaki mają ich około kilkunastu – ale zdecydowana większość tych najczęściej używanych słów ma zaledwie kilka kresek, więc pisanie po chińsku nie jest aż tak męczące, jak mogłoby być. Co innego tangucki, gdzie nawet tak prosty znak, jak oznaczający liczbę 5 ma tych kresek 10 (i wygląda jak krzak), a wiele innych ma ich około dwudziestu.

Co więcej, wiele tanguckich znaków składa się z tych samych komponentów – tyle że inaczej ułożonych, co jest dodatkowym utrudnieniem, bo tym ułożeniem nie rządzi żadna reguła. Dwa elementy graficzne obok siebie w jednej kolejności dają znak oznaczający serce, a w odwrotnym – człowieka. Taka sytuacja rzadko się zdarza w chińskim.

Chińskie znaczki-krzaczkę są tworzone z innych, prostszych znaków na podstawie bardzo prostych reguł; prawa część to znak o podobnej wymowie, a lewa część to znak o podobnym znaczeniu, dlatego na przykład 媽 *mā*, matka, to 馬 *mǎ* (koń) + 女 kobieta (*nǚ*). Tworzenie bardziej skomplikowanych tanguckich znaków z prostszych – co jest niezbędne, by móc zapamiętać ich tysiące w jakiś sposób – rządzi się dużo mniej przewidywalnymi prawami.

Mimo już ponad setki lat badań nad tanguckim, pozostaje on tajemnicą. Jak brzmiały język zapisany tymi znakami? Z różnorodnych transkrypcji i słowników

znalezionych w Kharakhoto możemy się dowiedzieć wielu rzeczy, ale fonetyka tanguckiego nie jest dokładnie poznana. Co więcej, istnieje cała masa słów i znaków, które nie są używane w żadnych tekstach poza słownikami, gdzie są one wyjaśnione jako po prostu synonimy innych słów. Trudno jednak wyjaśnić taką lukę. Ten tak zwany tangucki B, w odróżnieniu od normalnego, tanguckiego A, jest wedle różnych teorii dialektem, archaiczną formą języka, językiem rytualnym lub liturgicznym – jednak najbardziej prawdopodobne wydaje się twierdzenie, że mamy za mało danych, by cokolwiek na ten temat powiedzieć. Nasza wizja tanguckiego imperium jest przyciemniona przez piaski Kharakhoto, dumnej ruiny pośród pustyni. Istniały dziesiątki innych tanguckich miast, które zniknęły z powierzchni ziemi, setki ksiąg, których nikt już nie przeczytał. Najstarsza inskrypcja w owym piśmie pochodzi z 1502, około trzystu lat po upadku imperium. To państwo i ten system pisma to krótkie, mało znaczące, ale fascynujące a zapomniane epizody w historii wszechświata. Cieszymy się więc, że mamy pismo, które może nie dorównuje estetycznie tanguckim monumentom znaczeń i dźwięków, ale które jest proste i użyteczne. Z możliwych pism, jakie mogły nam w przypaść w spadku, alfabet łaciński jest wcale niegorszym systemem.

~ Kazimierz Michalik

<sup>1</sup>Wolne tłumaczenie angielskiego "*The Great Xia State of the White and the Lofty*", czyli chińskiego 白高大夏國.

# BYĆ IDEALNĄ, CZYLI ODMIENNE KANONY PIĘKNA W RÓŻNYCH EPOKACH

## KOBIETY IDEALNE MINIONYCH EPOK

Rzeźby i malowidła z czasów prehistorycznych przedstawiają kobiety jako bardzo zaokrąglone, niekiedy otyłe. Zupełnie inny wizerunek kobiety panował w starożytnym Egipcie, gdzie ideałem była smukła kobieta o wąskich biodrach, mocno umalowanych oczach, wydatnym nosie, długiej szyi i całkowicie łysej czaszce. Z kolei starożytni Grecy i Rzymianie zachwycali się przedstawicielkami płci pięknej, których wygląd był zbliżony do dzisiejszych standardów piękna. Wenus z Milo być może nie zachwycałaby dziś zbyt wielu swoją twarzą, ale jej ciało najprawdopodobniej zdobyłoby uznanie doskonale harmonijną, nieco atletyczną budową.

W średniowieczu powszechna tendencja do ascezy i umartwiania się wykształciła ideał kobiety delikatnej, kruchej, bardzo szczupłej, najczęściej bladej i jasnowłosej. Dobrze wychowane panny starały się jak najmniej jeść, zwłaszcza w towarzystwie, chcąc uchodzić za osoby stworzone do wyższych celów, nie zajmujące się tak przyziemnymi rzeczami jak troska o sprawę ciała. Wkrótce moda na duchowość ustąpiła na rzecz cielesności.

Barokowe kobiety podkreślały swoją urodę wymyślnymi ozdobami, perukami i mocno wydekoltowanymi sukniemi, w modzie królowały krągłe kształty. Jeden z najbardziej znanych malarzy tego okresu, Peter Paul Rubens, na swoich obrazach przedstawiał kobiety w sposób bardzo naturalny, koncentrując się na ich krągłościach.

Ze względu na znaczny wzrost popularności kina, dwudziesty wiek stał się wiekiem filmowych aktorek. Każda dekada miała swoją piękną muzę - od Poli Negri, przez Audrey Hepburn i Brigitte Bardot, aż po Kim Basinger i Michelle Pfeiffer. Za największą gwiazdę XX wieku najczęściej jednak uznaje się Marilyn Monroe, najsłynniejszą blondynkę wszechczasów, która dzisiaj nosiłaby rozmiar 42. Czy współcześnie miałaby ona szansę zostać symbolem piękna?

## WSPÓŁCZESNE IDEAŁY PIĘKNA

Za współczesne symbole piękna i kobiecości uznawane są między innymi Julia Roberts, Angelina Jolie, Beyonce Knowles, Keira Knightley, Penelope Cruz, Jessica Alba, Salma Hayek, Megan Fox czy niezwykle szczupłe modelki Victoria's

Secret – Stella Maxwell lub Monika Jagaciak. Patrząc na to zestawienie wyraźnie rzuca się w oczy ogromna różnorodność – kobiety te reprezentują całkiem różne typy urody, na próżno szukać wspólnego mianownika dla nich wszystkich. Są wymarzonym ideałem dla mężczyzn i inspiracją dla kobiet. Każda z nich może się cieszyć ogromną rzeszą wielbicieli mimo tego, że są tak różne. Wbrew przekonaniu wielu osób, każda z nich ma wyraźne wady i nie uważa się za ideał. Wydawca czasopisma „Vogue”, Anna Wintour, twierdzi, że Jolie jest ucieleśnieniem „fizycznego ideału” i „wspaniałej formy”. Tymczasem aktorka przyznaje, że chociaż jest podekscytowana tak wielkim zaszczytem, to nigdy nie uważała się za piękność. „Mam za sobą etap, w który zaprzeczałam całej swojej kobiecości. Uważałam, że byłby ze mnie fajny chłopiec. Nigdy nie myślałam, że jestem zmysłowa czy nawet kobieca, zawsze wydawało mi się, że jestem za bardzo kanciasta”.

Współczesność wydaje się kobietom bezlitosna. Nie jest łatwo żyć w czasach, w których piękny wygląd jest przepustką do wielu miejsc, niedostępnych dla mniej urodziwych osób. Nie jest łatwo być prawdziwą, żywą kobietą wśród starannie wyretuszowanych i komputerowo poprawionych ciał, wygładzonych i wyczyszczonych ze wszelkich skaz. Z drugiej jednak strony mamy tę przewagę, że nie musimy się wpasowywać w bardzo ścisły szablon, niepozostawiający miejsca na żadną indywidualność. Dziś piękno nie nosi już jednego, sztywnego gorsetu, nie ma jednej konkretnej twarzy, nie zamyka się w jedynie słusznych wymiarach – dzisiaj piękna może być każda kobieta.

~ Julka Fołtyn

# WSPIERAJMY LOKALNYCH KRWIOPIJCÓW

Jak powszechnie wiadomo, NFZ jest zarządzany przez wampiry. Choć dokładna data krwiopijczych rewolucji, jaka tam zaszła, jest nieznana, jeden fakt pozostaje jasny: pracownicy Służby Zdrowia to co do jednego nieśmiertelne istoty odżywiające się ludzką krwią. To dosyć intuicyjny wybór kariery – przecież to właśnie w szpitalach najwięcej jest kontaktu z krwią, a podszywanie się pod życzliwych obrońców zdrowia i życia dyskredytuje i ośmiesza tych, którzy doszukiwaliby się w lekarzach krwiopijców.



Sytuacja przedstawia się podobnie w Regionalnych Centrach Krwiodawstwa i Krwiolecznictwa (RCKiK) w Polsce. Tam również pod pozorem zostawania w pracy po godzinach śpi się w trumnach. Wampiry Krwiodawstwa nie stanowią

jednak tej samej politycznej struktury, co NFZ (czytaj: Krewnefzet). Są to dwie oddzielne frakcje, których rozłam historycy datują na koniec XVII wieku, kiedy zaczęto przeprowadzać pierwsze transfuzje krwi.

Wampiry z RCKiK to wampiry oświecone, nie pasożytujące na ludziach, ale pragnące z nimi harmonijnie współistnieć. Wampiry te zaznaczają, że taki układ sił między nimi a ludźmi oferuje obopólne korzyści – nieśmiertelni się żywią, a my unikamy śmierci i leczymy choroby dzięki transfuzjom – o ile tylko krwi wystarcza obu gatunkom, co zależy wyłącznie od dawców.

Poważniej: oddawać krew może potencjalnie każdy po skończeniu 18 lat. Wystarczy znaleźć, na przykład w Internecie, najbliższe Centrum Krwiodawstwa (lub, w mniejszych miejscowościach, Mobilny Punkt Krwiodawstwa, tzw. krwiobus), przyjść tam i na miejscu wypełnić kwestionariusz dotyczący np. przebytych i przewlekłych chorób czy odwiedzonych ostatnio krajów – trzeba być stosunkowo zdrowym, żeby móc swoją krwią komuś pomóc. Jeśli robi się to pierwszy raz, dostaje się Książeczkę Honorowego Dawcy Krwi. Samo pobranie krwi trwa najwyżej kilka do kilkunastu minut. Każdorazowo za oddanie krwi dostaje się jej równowartość w kaloriach – zwykle jest to około ośmiu tabliczek różnych czekolad. Oddawać krew

można co osiem tygodni.

Dawców krwi oczekują różnorakie przywileje – od darmowych przejazdów komunikacją miejską, przez zwolnienie od pracy w dniu oddania krwi, darmowe badania morfologiczne, kończąc na zniżkach na leki. Jeśli więc nie motywuje Cię do pomocy innym ludziom ani czekolada, ani altruistyczna chęć zmieniania świata na lepsze, motywowana systemem moralnym – zrób to chociaż dla pacyfistycznych wampirów i nie pozwól im wrócić do antagonistycznych czasów Drakuli. Wspieraj swoich lokalnych krwiopijców i oddawaj krew, bo gotowi sami ją wyssać.

~ Kazimierz Michalik

*Artykuł ten jest humorystyczny i nie ma na celu obrażania ani obmawiania NFZ czy RCKiK. Wszelkie podobieństwa do prawdziwych wampirów są przypadkowe. Więcej informacji można znaleźć na: [www.rckik-warszawa.com.pl](http://www.rckik-warszawa.com.pl)*



## BODO, TYLKO ON!

*Już taki jestem zimny drań  
I dobrze mi z tym, bez dwóch zdań,  
Bo w tym jest rzeczy sedno,  
Że jest mi wszystko jedno,  
Już taki jestem zimny drań.*

Bodo? Eugeniusz Bodo (a właściwie Bogdan Eugène Junod) był polskim aktorem filmowym, rewiowym i teatralnym, reżyserem, scenarzystą, tancerzem, piosenkarzem i producentem filmowym szwajcarskiego pochodzenia. Jego pseudonim pochodzi od pierwszych sylab imion: jego własnego (**B**ogdan) i jego matki (Jadwiga Anna **D**orota Dylewska - polska szlachcianka). Urodził się 28 grudnia 1899 roku w Genewie a zmarł 7 października 1943 roku w łagrze w Kotlasie. Do końca życia był obywatelem Szwajcarii, co przyczyniło się do jego śmierci w archangielskim łagrze.

Mając zaledwie dwa lata przeprowadził się wraz z rodzicami do Łodzi, gdzie jego ojciec (inżynier z wykształcenia) zajął się działalnością kulturalną – stworzył Teatr Iluzji Urania – ulubione miejsce Juliana Tuwima i miejsce debiutu jego syna. W 1917 roku zaczął występować jako pieśniarz i tancerz w Poznaniu, Lublinie i Warszawie. Występował tam w kabaretach *Qui Pro Quo*, *Morskie Oko*, *Cyganeria* i *Cyrulik Warszawski*. Jego ogromna popularność rozpoczęła się wraz z rolą w *Rywalu* w 1925 roku. Zagrał w 30 filmach przeróżne role: amantów, postacie tragiczne i komediowe. Śpiewane przez niego piosenki w filmach stawały się w Polsce szlagerami.

27 maja 1929 roku prowadząc swojego Chevroleta, którym podróżował kolegami z kabaretu *Morskie Oko*, spowodował koło Łowicza wypadek – trafiając w ciemnościach na nieoznakowaną stertę kamieni doprowadził do śmierci Witolda RONALDA. Został za to skazany na sześć miesięcy więzienia

w zawieszeniu. Istnieje przypuszczenie, że aktor wypadek spowodował pod wpływem alkoholu – choć zarówno on jak i jego matka stwierdzili w zeznaniach, że w dniu wypadku pił tylko kawę. Najprawdopodobniej to wydarzenie sprawiło, że Bodo był zdeklarowanym abstynentem.

Gdy dorobił się mieszkania w Warszawie, sprowadził do siebie matkę. Był uważany za osobę dowcipną, szarmancką, a także uwodzicielską, co przysparzało mu wiele wielbicielki. Przez kilka lat był związany z aktorką Norą Ney (co ciekawe jej kariera aktorska trwała do momentu zesłania jej z córką w głąb ZSRR, gdzie przeżyła II wojnę światową. Wyjechała w 1946 roku z Polski do Ameryki i zmarła tam w 2003 roku). Miał ożenić się z ekscentryczną aktorką amatorką (urodzoną na Bora-Bora) Reri, która właściwie nazywała się Anne Chevalier. Poznali się, gdy kobieta przyjechała na swój jedyny występ w Polsce. Bodo namówił ją do pozostania w naszym kraju i dał jej rolę w *Czarnej Perle*. Do małżeństwa nie doszło z racji różnic kulturowych i nadużywania alkoholu przez narzeczoną. Inne zdanie na temat miał Arkady Fiedler, który pisał: (...) a Bodo, jak to Bodo. *Niestety Gładysz, dzióbosowy letkiewicz, po kilku tygodniach sprzykrzył sobie egzotyczną aktorkę i tu zaczęła się mniej chwalebna część romansu. Bodo zaczął bezceremonialnie wpychać Reri w ramiona innych galopantów, swych koleżków, a im więcej ich było, tym lepiej dla niego; im rześściej lała się gorzałka, tym skuteczniejsza woda na młyn szalaputa. Gdy Reri wyrwała się z birbancko-sprośnego bagienka i wyjechała z Polski, już było za*

*późno, by się wyprostować; nie mogła wyzbyc się trunkowego nałogu. (...) <sup>1</sup>.*

Był prekursorem reklamy w przedwojennej Warszawie. Reklamował krawaty od Chojnackiego, kapelusze Młodkowskiego i marynarki *Old England*. Jak wspominałam, był abstynentem ale kochał jedzenie i kobiety. Ponadto był filatelistą. Posiadał doga niemieckiego – arlekina o imieniu Sambo. Pies przeżył swojego właściciela – został przypadkowo zabity w trakcie powstania warszawskiego.

Lata trzydzieste dla Eugeniusza Bodo to produkcja filmów, w których sam występował. Stworzył wytwórnię *B. W. B (Bodo. Waszyński. Brodzisz)*. W 1935 roku występował w Palestynie, a trzy lata później z programem estradowym z Mirą Zimińską. W kwietniu 1939 roku otworzył na ul. Foksal 17 kawiarnię *Café-Bodo*.



Po wybuchu wojny oddał kawiarnię w dzierżawę i przeniósł się do Lwowa. Znając biegle rosyjski, został konferansjerem i występował w teatrze *Tea-Jazz*. Po powrocie z tournée po ZSRR chciał wyemigrować do USA. Złożył w tej sprawie dokumenty i ujawnił swoje obywatelstwo szwajcarskie. Wkrótce potem został aresztowany przez NKWD. Ostatnie lata swego życia spędził w łagrze w Kotłasie mimo licznych interwencji władz polskich. Nie objęła go amnestia dla polskich więźniów w ZSRR z powodu szwajcarskiego obywatelstwa. Zmarł z głodu i z wycieńczenia i został pochowany w masowej mogile.

Wydawać by się mogło, że słuch

o artyście zaginie. W PRL-u zgodnie z interesem władz twierdzono, że Bodo został rozstrzelany przez Niemców po ich wkroczeniu do Lwowa. Po kilkudziesięciu latach ponownie robi się głośno o Bodo, a to za sprawą nowej inicjatywy TVP. W tym roku nastąpi emisja serialu o aktorze. Serial będzie trzynasto odcinkowym cyklem opowiadającym o życiu artysty. Jak zastrzegają sami autorzy: *Serial jest inspirowany biografią Eugeniusza Bodo, nie jest jednak wierną rekonstrukcją faktów. Niektóre przedstawione tu postacie, zdarzenia czy losy bohaterów są fikcją stworzoną ze względów dramaturgicznych, a podobieństwo do osób i wydarzeń rzeczywistych jest w tym zakresie przypadkowe i niezamierzone.* W rolę młodego Bodo wcieli się Antoni Królikowski, zaś w starszego Tomasz Schuchardt. Wspomnianą Reri zagra Patrycja Kazadi, Polę Negri Edyta Herbuś, a Adolfa Dymśkę – Bartłomiej Kotschedoff. Sceny kręcono m.in. w Warszawie, Łodzi, Wrocławiu, Zgierzu i Żyrardowie. Liczba statystów biorących udział jest naprawdę pokaźna – podczas sesji nagraniowej w której miałam okazję brać udział to było około stu statystów w jednym miejscu, a takich sesji było wiele. Należy przyszykować się na eksplozję lat 20-tych i 30-tych – dużo tańca, muzyki, miłości i teatru. Pierwszy odcinek został wyemitowany 6 marca. Bodo to wspaniała postać w polskiej kulturze i kinematografii, warta unieśmiertelnienia na polskich ekranach – wreszcie to się stało. Czekamy na efekty!

~Andrea Nowicka

1 Arkady Fiedler, *Wiek Męski-Zwycięski*, s. 218.



## MANIFEST KMINY

It begins with the word *algedonic*. It means, according to the dictionary definition, ‘pertaining to both pleasure and pain’.

The kmina is that nearly everything humans do is a result of their *algedonic* system, that is, the mental, perceptive system of pleasure and suffering evolved in this way through millennia, maximizing survival chances by motivating the more conscious part of the mind to instigate actions decreed to be pleasant, that is, utilitarian for the living being and continuing its presence within ecology.

For example, eating food is absolutely necessary for a living organism, even though food may prove difficult to acquire. That is why the process of eating, even eating more than needed, is intensely pleasurable, while its opposite, hunger, is painful, constitutes suffering. This is applied, with varying degrees of intensity, to each and every bodily function – such as sleep, excretion, breathing or mating – necessary for survival and propagation of the species.

We use here the word ‘suffering’ in its wide, Buddhist meaning of *dukkha*<sup>1</sup> or 苦<sup>2</sup>. We realize any slight dissatisfaction spoken of as being suffering could have otherwise felt out of place.

This algedonic system evolved first in animals, but still greatly affects the sentient species that is humanity as well. Through millennia of humans’ growth, this system of biological prizes and punishments has

continued to be the greatest of forces affecting humans. Hedonism was an attempt to embrace it and experience only the positive sides of algedonicism. Schopenhauer’s idea was that no matter what, the negative algedonic qualia greatly outnumber the pleasant ones. Ascetism is the renunciation of the pleasurable for the sake of the moral. Romanticism is literature’s focus on the algedonic experiences associated with awe, mystery, and romantic love. Consumerism is a haphazard and voracious attachment to algedonicism. And so on, and so forth.



Complex issues such as morality, religion or culture factor into the algedonic theory in more complex ways, for the description of which there is far not enough space in this text. Let us only say that morality is an emergent<sup>3</sup> quality of systems of multiple people, and moral systems are based on an attempt to unify and qualitatively judge the

sum of the separate algedonic systems of the specific individuals.

This is unlike religion, which can be thought up into existence and practised in complete solitude. Culture, tightly associated with the other two, and perhaps the most complex of the three, also eventually boils down to algedonic qualities.



**What we argue here is that the algedonic system is, fundamentally, for the sentient being, horribly *bounding* and *derogatory*.**

No matter the culture, religion, morality, race, country or gender, people absolutely need to eat, drink, sleep, excrete, wash, and desire to mate<sup>4</sup>. They require shelter, warmth, safety, and a plethora of material possessions without which their existence is lamentable. For need of all those things people are prone to commit the most vile of acts, or degrade themselves in the most appalling of ways. Even having acquired of those, managing and maintaining all of the

algedonic needs is a tiring chore, taking the majority of a lifetime. All of existence is bound by these algedonic shackles.

Only if humans, as a species, move on past their algedonic system, taking on a freer, higher form, can their existence progress in any meaningful way.

Buddhism recognizes our theory partially. It also talks of liberation – but merely from desire, not from the whole human condition that is algedonicism. The earthly bodies of *arhats* and *buddhas*, though not desiring nutrition, still require it. Their mysticism only allows them to disregard their condition, not to qualitatively change it.

**We say that to make the downfall of algedonicism attainable to everyone, humanity requires the transhuman revolution.**

It will be through technology and a transfer of the mind from an ephemeral, randomly created by nature, disgusting and clunky mortal shell into a more refined, freed of bias and harmful mental constructs of a form that we attain a level of existence currently hardly imaginable.

It is *not* at all *unavoidable* though that we should take the step to become more technological than organic, as there are multiple things that could stop us on the way, like the ecological calamity wiping us out completely, destructive wars or cosmic cataclysms that should befall us before the time is done. Yet, we believe it is a step humanity should and must eventually take.

One may ask now, what could the post-algedonic entity even desire, without the algedonic compass telling it what is good and wanted and what is bad and abhorred. We see that ultimate goal in science, the

completion of knowledge, attaining omniscience about the universe. Though it is quite possible that more and better goals shall arise after we make the transfer to posthumanity.

Meanwhile, as we are collectively shackled in an exhausting spectrum of which happiness and death are the extremes, there still exist other goals worthy of our time. Algedonic experiences may be satisfactory. Morality, though not absolute, should be obeyed. Pursuing art is worthwhile. Religion exists. We believe, however, that above those is positioned the lofty, transcendent enterprise of transhumanism, freeing us from this mortal coil.

This theory does not try to claim the right of explaining literally everything and exhausting all of philosophy, though it may seem so. Grand matters like epistemology, morality or aesthetics are still things in their own right whose prominent place algedonicism does not usurp. We believe, however, that it manages to explain a big chunk of reality that is the teleology of the human race, and we are so, so algedonically pleased with that.

~ Kazimierz Michalik

<sup>1</sup> From Pali दुक्ख, from Sanskrit दुःख *duḥkha* “suffering, anxiety, stress, discontentment, unsatisfactoriness”.

<sup>2</sup> Mandarin *kǔ*, from Middle Chinese /k<sup>h</sup>uo<sup>X</sup>/, from Old Chinese /\*k<sup>h</sup>aːʔ/ “suffering, hardship; bitter”.

<sup>3</sup> Emergence “is a process whereby larger entities, patterns, and regularities arise through interactions among smaller or simpler entities that themselves do not exhibit such properties”, according to Wikipedia.

<sup>4</sup> Except asexuals, who may exhibit no physical attraction to anyone.

# WIERSZE

## SUBIEKTYWNY ZAMOYSKI

*W jubileusz 110-lecia XVIII LO im. Jana Zamoyskiego w Warszawie Patronowi szkoły, Gronu Pedagogicznemu, Absolwentom, Przyjaciółom z szkolnych ław...*

Smolny bruk.  
Gdzie jesteś?  
Spotkamy się „w szafkach”!  
Parter, stoliki,  
Drugie piętro,  
biblioteka,  
A imię jej było dwieście i pięć,  
Te filary, takie samotne  
Bez nas już stoją  
Trzecie piętro, stoliki,  
Wnęka przy trzysta siedem,  
tajemna grota humanistów...

...

Tyle wspomnień,  
Obrazy wirują,  
Powracając ze zdwojoną siłą.  
Tyle godzin, minut, sekund  
Spędzonych w tych murach,  
Tyle wspomnień,  
Rzeczy za które warto podziękować...

...

Zamoyski

...

Dał mi skrzydła do wysokich lotów,  
Lecz nie tych ikarowskich,  
Z góry skazanych na niepowodzenie.  
Dał mi siły do zdobywania szczytów,  
Lecz nie tych niskich z dogodnymi szlakami,  
Jedynie tych najbardziej stromych, niebezpiecznych.  
Dał mi odwagę,  
Aby sięgać po więcej i więcej.  
Umożliwił doskonalenie swoich słów,

Wymyślanie nowych fraz,  
Tworzenie sztuki,  
Która niesie ze sobą emocje,  
Skłania do refleksji.  
Pozwolił pogłębiać wiedzę,  
Inspirować się jedynie tymi najwybitniejszymi.  
Dał drogowskaz,  
Którędy podążać i jak żyć.  
Nauczył przyjaźni,  
Zbudowanej ze spiżu,  
Trwalszej niż czas.  
Pokazał, co to braterstwo,  
Świadomość polegania na kimś.  
Pokazał jak stawiać przed sobą cele,  
Samodoskonalić się,  
Pracować nad sobą niczym staffowski Kowal,  
Bez wytchnienia, aż do osiągnięcia sukcesu.  
Nakazał mieć odwagę,  
Nie lękać się porażki,  
Nigdy nie poddawać się,  
Być przepelnionym nadzieją.  
Droga na najwyższe szczyty jest trudna,  
Pełna niebezpieczeństw, zwątpienia,  
Lecz na końcu na najwytrwalszych czeka nagroda...

...

...

...

Znajomy głos,  
Szepcze gdzieś zza filarów  
Gdzie jesteś?  
Spotkamy się „w szafkach”!

~ Weronika Pisula,  
absolwentka 2014

## LISTY DO MIŁOŚCI

Miłości  
Widziałam Cię  
Dzisiaj przy pustej szarej ulicy  
Pomachałam Ci  
Ty mnie zignorowałaś  
Zostawiłaś  
Poszłaś dalej w nostalgicznej ciszy

Droga Miłości  
Minęłam Cię  
Dzisiaj w mieście pełnym dziur  
Potknęłam się  
Podałaś mi rękę  
Spojrzałam  
Ujrzałam słońce na niebie chmur

Droga Miłości  
Zatrzymałaś się  
Dzisiaj przede mną wśród samotnych ludzi  
Uśmiechnęłaś się  
Pokazałaś świat  
Piękniejszy  
Który zorza rankiem budzi

Droga Miłości  
Spotkałam Cię  
Dzisiaj w każdej drobnej chwili  
Spotykam co dzień  
Ludzie to widzą  
Myślą  
Bądźmy dla Miłości bardziej mili  
Droga Miłości  
Zostawiłaś mnie  
Dzisiaj samą w tym gwarnym świecie  
Długo płakałam  
Wciąż mam nadzieję  
Błagam  
Spotkajmy się w przyszłym lecie

*~Michalina Prus*

\*\*\*

Płacząca wierzba oblała się łzami  
Nadludzkie siły wyrwały nam z serca  
Ostatni znak prawdziwego braterstwa  
I nigdy już nie będziemy tacy sami

Nasze szczere uśmiechy wnet porwali  
I zostawiając zagadki zarania  
Zadali bez odpowiedzi pytania  
I w tym wielkim świecie zostaliśmy sami

Płacząca wierzba stoi w głuchej ciszy  
I choć świat cały zawalił się dla nas  
To dla nikogo nie zatrzymał się czas  
A ich nikt już tutaj nigdy nie usłyszy

~*Michalina Prus*



## KONCERT

Gdzieś przy konsulacie, przy Konwiktorskiej  
Trwa od rana kontrowersyjny koncert...

Kontratenor z kontralcistką  
Konwersują z kontradykcją,  
Kontrafagot z kontrabasem  
Konturują w kontrze basem,

Konferansjer kontredansem z kontenansem  
Kontestuje koncertowe konwenanse,

Pan zza konsoly — siedzi w ubikacji,  
Kontempluje pogrążony w konstypacji,

Instrumenty — konsensusem, niby w transie  
Grają na to coraz głośniej w konsonansie,

Każdy — kontent  
Gra swój koncert

I słyhać rytmiczność przyjętych konwencji:  
To walc, to marsz...

...A w śpiewackiej konferencji  
Konflikt — a to tenor z basem  
(Paniom konweniują — czasem):  
Bas — na raz!  
Tenor — trzy!  
Kontrast! Kontrast!

Tenorowej konfesacie  
Aplauz gromki w konsulacie,  
To znów basem bas konkretnie  
Konwersację rusza świetnie!

A koncert trwa od rana  
Wciąż, wprzód.  
Wstecz — nie!

Więc:  
— Konrad, chodź no na ten koncert!  
— Koniecznie!

~ Tomek Ratajczyk



## PIEŚŃ O PORZUCONYM STATKU

*Wg W. Wysockiego „Баллада о брошенном корабле”*

Kapitana w ten dzień nazywalim na ty,  
Każdy z każdym z nas był jak brat z bratem,  
Zglądły fal grzbiety i rozsunęły się mgły  
I pognalim, ścigając się z wiatrem!

Gdzieś daleko, możliwe,  
    Wylaniał się brzeg  
I cóż był to za dziw!  
    Każdy z nas wstrzymał dech  
Na myśl o ziemiach wysnionych, rajskich,  
Tych Kolumbowskiach czy Magellańskich!

Jednak mnie żaden brzeg  
    Nie chce objawić się,  
Bez kierunku i w biegu  
    Przed się niby mknę,  
Wokół każdy mój brat  
    Już przed sobą ma cel,  
Gdy ja patrzę przez świat —  
    Ledwie mdła mapy biel...

Uszli moi kompani, zostałem tu wraz  
Z tą nadzieją, że jest im choć smutno.  
Im beze mnie odpłynąć już musiał przyjść czas,  
Że dryfuję w szalupie za burzą.

Odpłynęli już w dal,  
    (Boże, uchronźże mnie!)  
Gdy na morzu bez fal  
    Postrzeliły mnie dwie  
Kule prędkie, ciężkie, ołowiane:  
Za Kolumba! I za Magellana!

W pianie brodzę, nie zdołam  
    Wpaść w letarg i w toń,  
Że w tej wodzie do kolan  
    Nie dany mi zgon,  
Tylko ranny zostałem  
    Z bagażem mych blizn,  
Będę niósł je na chwałę —  
    Tyle warta ma żyźn!

Ale nie, w moją stronę powraca ich łódź,  
Widzę dawnych kolegów-marynarzy,  
Skorych pokład płądować, z masztów żagle mi pruć  
I brnąć wiecznie w ten ciąg abordaży!

Trwałem tak tyle lat...  
    Kil wygięty jak gryf,  
Wokół mnie morze strat  
    I ja sam — żyw nie żyw,  
Wsparty w ślady burty, zapomniany  
Leżę — sól w otwarte wsiąka rany.

Wiatry sączą mą krew,  
    Pchają złamany maszt,  
Ryczą w uszy jak lew,  
    Dudnią w burt dziury, aż  
Póływ wstanę pod wiatr,  
    Co tak każe się chwiać  
I zobaczy niech świat,  
    Że ja wciąż mogę stać!

I ten wiatr, niczym podły, nieproszony gość,  
Chce wywracać nogami do góry,  
Potłuc wina lub mnie w nich zatopić na złość,  
Żebym znów pognał w morze, przez chmury!

Nawet sam bym tak chciał,  
    Jak po kość ranny pies,  
Co by żyć jeszcze miał,  
    Gdy mu już życia kres,  
Lecz opilem samą się nadzieją —  
W moją stronę wiatry już nie wieją.

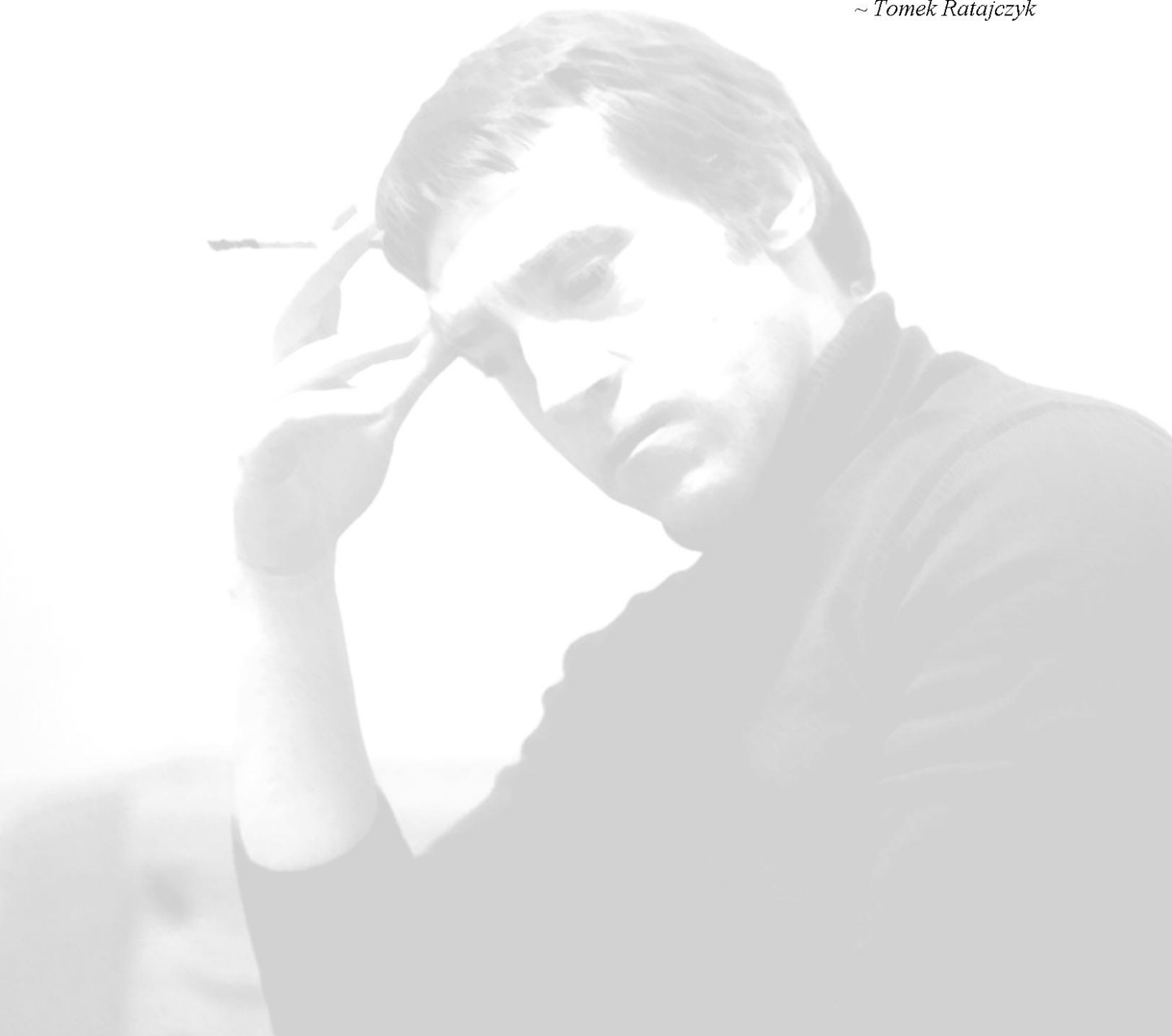
Kiedyś stanie się cud,  
    Fale obmyją mnie  
I popłynę wskroś wód;  
    Łódź przez morze już tnie,  
Już wyraźną mam twarz  
    I nie padam już z nóg,  
Już się wybił mój maszt,  
    Jakby wzniósł go sam Bóg!

Tak doganiam kamratów, wybaczyć im chcę  
Przedawnione nasze strzelaniny,  
Bo czyż któryś z nich kiedy poczynił co złe?  
Ileż można pamiętać im winy?

Jednak nie ma tam mnie,  
Gdzie kompanów stał las.  
Odsunęliście się?  
Chciejcie mnie, proszę was,  
Przecież jestem wciąż swój  
I wy — tacy, jak ja,  
Więc przesilmy ten znój,  
Odcumujmy od dna!

Wszak każdy z nas jest statkiem,  
Więc płynmy prosto, razem,  
Wszak wody pod dostatkiem  
I ziemi z naszych marzeń,  
Tak, tej ziemi wyśnionej i rajskiej,  
Tej Kolumbowskiej i Magellańskiej!

*~ Tomek Ratajczyk*





## ZŁOTE USTA



**„Macie duże szanse zostać poetami, skoro nie czytacie, nie uczycie się...”**

~ p. prof. Bogumiła Kozyra

**„Gdzie wy tych korepetytorów szukacie, na Wydziale Filozofii?”**

~ p. prof. Adam Skalmierski

**„Wydaje mu się, że wszystkie rozumy pozjadał. A on tylko polizal. Przez szybkę”**

~ p. prof. Edyta Oldakowska-Dębek

**„Wczoraj ja cierpiałam przez twojego kota, dzisiaj ty będziesz cierpieć przez tę szmatę”**

~ p. prof. Dorota Narojczyk o szmatce do tablicy

**„No więc, dzieci, tutaj mam nitroglicerynę [pani profesor zaczyna wstrząsać probówką, klasa zamiera]... Żartowałam”**

~ p. prof. Anna Gajewska

**„No, moje piszczały, jak to pisały”**

~ p. prof. Przemysław Poniatoski o uczniach rozwiązujących zadania na klasówce

**„Korczak był miłośnikiem dzieci... Ale to się z pedofilią kojarzy”**

~ p. prof. Leszek Kozłowski

**„Ja rozumiem, że ty uciekłeś od pani Korczyńskiej, ale nie mogę pojąć, czemu miałeś tam jedynekę i dlaczego spadł mi kolejny pasztet na głowę”**

~ p. prof. Małgorzata Przeniosło

**„Spójrz na mnie i czerp ze mnie siłę”**

~ p. prof. Jan Olenowicz

**„Ja zaraz schizofrenii dostanę albo zeza rozbieżnego”**

~ p. prof. Bogumiła Kozyra

**„Uczeń: To są liczby całkowite wymierne**

**MP: To jesteś całkowicie niedouczony”**

~ p. prof. Małgorzata Przeniosło

**„Nie rzucim tabletu skąd nasz ród”**

~ p. prof. Przemysław Poniatoski o priorytetach dzisiejszej młodzieży

**„Mama ma przyjść na zebranie, bo jak nie, to solówka po lekcjach”**

~ p. prof. Leszek Kozłowski

**„Jeśli chcecie podręczyć biol-chem, to powiedźcie im, że medycyna nie jest nauką. Przecież to rzemiosło rzeźnicze”**

~ p. prof. Przemysław Poniatoski